CENA ZŁ 20

W numerze: Zdzisław Hierowski, Anna Kowalska, Stanisław Telega, Krystyna Wryczan

SOPOT
ul. Cz... ...mi 101
Wyż... ...Handlu
Mor... ...bioteka
BIBLIOTEKA SZKOŁA HANDLU MORSKIEGO GDYNI POMOCE NAUKOWE

Tygodnik

NUMER 5 (167) KATOWICE, WROCŁAW, SZCZECIN, OLSZTYN, DNIA 20 LUTEGO 1949 ROKU ROK V

Janusz Łonicki: Nowa linia tramwajowa do Brynowa

Janusz Łonicki: Z muzeum skansenowskiego w Katowicach

JACEK BRZYM

Miłe miasto z rudym obłokiem

Skąpa ziemia słabo żywiła ubogich chłopów katowickich. Oglądali się na zachód a tam już dymiły szerokie kanciate kominy. Synowie rzucali pługi i szli przez las ku dymom. Wracali pomęczeni ale zadowoleni, że dwoje ich rąk może jeszcze przebudować ich własne życie. Ale las okazał się granicą zbyt przejrzystą. Warkocze pokładów tu i ówdzie przebijały skorupę ziemską, błyskały w słońcu. Wiadomo było, że bogactwo jest tuż pod zieloną powłoką.

Tak to już w roku 1825 Katowice rosną w wieńcu dymów. Kuźnica Bogucko - Katowicka

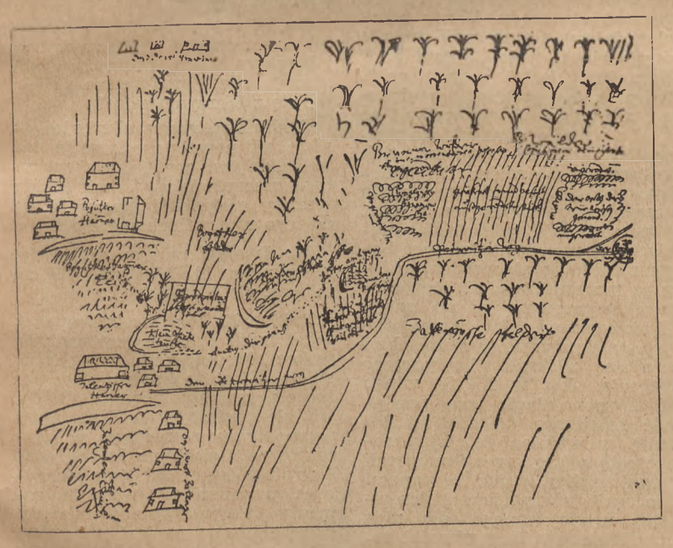

Szkic sytuacyjny Kuźnicy Boguckiej, Załęża i sąsiednich okolic, sporządzony w roku 1686. Było to serce dzisiejszego obszaru miasta. Na rysunku między stawem bogucko-kuźnickim a Małym Osiekiem widoczny jest las. Tędy poprowadzi później dzisiejsza ulica 3-go Maja i rozleje się obszar mia sta aż po Buglowiznę.

zyskuje sławę dobrze płatnej i bogatej, dwie huty cynkowe, nazwane fantastycznymi imionami córek lub kochanek niemieckich magnatów, Fanny i Henriette, zerkają jarzącymi się szczytami ku kopalniom Beaty i Ferdynanda. Później stanie tu wysoki piec, z początku na węgiel drzewny a od 1857 przebudowany na koks, huta cynkowa Ema, i jeszcze raz Fanny, tym razem cynkowa, huta Marta i kopalnia Arkona, fabryka górnośląskiej kolei, i huta Jakuba, huta Ludwika i młyn parowy i gazownia i tartak parowy. Jest na co patrzeć, jest co podziwiać. Wreszcie 1839 odbywa się wielki najazd urzędników i akt niemieckich przez imigrację zarządu dóbr Wincklera.

Od 1790 r. wielu właścicieli miała katowicka miasteczna ziemia, handlowały nią wdowy i cesarscy wysłańcy, sprzedawano ją za talary i córki. Niejaki Nefes sprzedaje ją za 50 tysięcy reńskich florenów niejakiemu Mikuszowi, ten zaś w sześć lat później pozbywa się majątku za 40 tysięcy talarów na rzecz kapitana von Mleczko. Ale i kapitanowi znudziła się gospodarka, dwa lata pędzi ludzi do pracy, wreszcie z zyskiem dziesięciu tysięcy talarów odsprzedaje ją mieszczuchowi jakiemuś, który ze względu na swe pochodzenie musi wybrać się w długą podróż do Berlina, by uzyskać zezwolenie na tego rodzaju własność. Mieszczuch tchnął życie w jeszcze jedną Henriettę, później wielką dyrektorową. Wzięła mająwa, wtedy musimy porwać się do walki ...

Twierdzę, że najelementarniejszą zasadę ekonomii narodowej jest, iż robotnik przyjmując pracę, ofiaruje li tylko swoją siłę roboczą pracodawcy na kilka godzin za odpowiednim wynagrodzeniem, ta zasada zaś w owych przodujących kulturą i oświatą wyższych warstwach na G. Śląsku w ogóle nie istnieje. Twierdzę z całą pewnością, że niemieccy przedsiębiorcy na G. Śląsku, ich rękodajni urzędnicy, owe przodujące u nas warstwy, od robotnika naszego żądają nie tylko siły roboczej, nie, one żądają ciała i duszy, jego politycznego i narodowego przekonania.

Wszystko, co ci robotnicy mają, wszystko obowiązani są za tych parę groszy oddać owym przodującym warstwom, a przy tym słyszy się ciągle hymny pochwalne, że one są apostołami niemieckiej kultury, która rozpędza sarmacką ciemnotę, panującą w polskich ziemiach ... Nie ma zakątka Niemiec, w którym by godność ludzką deptano w sposób tak niegodziwy jak tam. Tylko parę przykładów: Pan Gamp powiedział nam wczoraj, że zjednoczona Huta Królewska i Laura 50 % swoich zysków wydała na cele robotników. Powiada nawet, że udowodnił to statystycznie. Radziłbym panu Gampowi być nieco ostrożniejszym i nie zobowiązywać się do dopłaty do reszty owych 50 % zysków, w przeciwnym razie, gdyby musiał tę resztę dopłacić, łatwo mógłby postradać owe lasy, po których tak chętnie odbywa przechadzki."

Wspaniała parlamentarna mowa Korfantego kreśliła inny obraz Katowic. W kopalni Ferdynand — mówi mówca — urzędnicy czynnie obrażają młodych robotników a w kopalni Kleofas za mówienie po polsku sypią się najgorsze kary i wyzwiska. Katowice zyskują prawo do życia takie, jakie wypływa z zobowiązań historii.

Jest na co patrzeć. Wkrótce policja niemiecka przelęknie się strajkujących i w lękliwych raportach do Opola pisać będzie, że „robotnicy polscy uzbrojeni są w machiny i dynamit, w karabiny najnowszej produkcji i w kamienie". Gdzie to widziały zastrachane oczy? Z gołymi pięściami pójdą na ulicę katowiccy górnicy i hutnicy. A tu tymczasem niemiecki teatr ma bronić niemieckiej kultury i niemieckie gesangvereiny mają bronić niemieckiej melodii. Ale i po drugiej stronie rosną towarzystwa śpiewacze i powstaje wspaniały samorzutny amatorski teatr narodowy. Jest na co patrzeć, bo już następcy Thiele-Wincklerów uczą się języka polskiego, bo służba stajenna staje się dziwnie harda i nie chce mówić po niemiecku. Polskość spychana jest na peryferie miasta, tam gdzie żyje od początku, środek coraz wspanialszy zajmuje niemczyzna. Ale polskość trwa a z nią Katowice.

Ta droga dziejów jest upartą drogą polskości, która opływa miasto w ustawicznym ruchu, wrogim najeźdźcom. Boję się w tym mieście czegoś, co spogląda na mnie z za węgła, powie o Katowicach Alfons Hayduk, gdy bawił tu przed 1939. A Hayduk to renegat i pisarz, uważający się za katowiczanina.

Brzydkie miasto, brudne i podobno zbudowane na wulkanie bo na ruchliwym podziemiu, wstrętne ulice bez drzew, brzydkie mosty kolejowe, pod którymi czasem ktoś sprzedaje kwiaty, ćmawe kamienice i rude obłoki nad nimi — a przecież miłe miasto, bo potrzebne. Drogie tym, którzy tu zostali zapisani jako autochtoni w obszernych księgach stanu cywilnego. Drogie tym, którzy szukają w mieście nie tyle piękna ile perspektyw nowego życia.

Jacek Brzym.

tek w wianie a po niej mąż wdowiec i dzieci sześcioro. Dzieciska z wdowcem-ojczulkiem na czele nie bardzo przywiązały się do majątku, bo sprzedały go królewskiemu nadradcy górniczemu Lehmannowi, który zrobił fantastyczny interes, bo kupiwszy całość za niecałe 50 tysięcy talarów, odsprzedał w siedem lat później za 84 tysięce talarów majątek, zdewastowany nieco i okradany przez zbiedzoną ludność, właścicielowi dóbr rycerskich Winckler owi. Tenże w r. 1840 klęka na placu cesarskim w Berlinie i z rąk Fryderyka Wilhelma IV przyjmuje nobilitację. Teraz już, po jego śmierci, i córeczka jego nadobna Waleska lepszy może zrobić interes, co też jej się udaje przez zawarcie małżeństwa z równie lekkomyślnym co szczęśliwym w interesach porucznikiem Hubertem von Thiele. On to dodaje sobie później do nazwiska drugie: Winckler. Odtąd mocne łapy chciwego porucznika rozbudowują wspaniały majątek, pomnożony o mysłowickie dobra Mieroszewskiego, który sprzedał je jeszcze poprzednio małżonce Wincklera.

Jest na co patrzeć, historia przesuwa jak marionetki wizerunki potentatów niemieckich na tle kotary z gołych gałęzi, biednych kurnych chałup, ponurych mrocznych twarzy. Szlachetny prorektor elżbietańczyków wrocławskich w swej „Podróży przez Śląsk w lipcu i sierpniu 1791", I. G. Schummel, bronił już mrocznych Ślązaków przed zarzutami wytapetowanych arystokratek, że są brudni i nieuczeni, ponurzy i cuchnący. Informatorem Schummla był nie kto inny jak sprytny mieszczuch, który kapitanowi Mleczce zapłacił żywą gotówką za katowicki majątek. Mieszczuch mówił szczerze z uczonym, toteż dowiadujemy się, jaki to jest ów dzień roboczy chłopa katowickiego. Rano dwie sztuki bydła zaprzęga chłop do woza. Potem jedzie półtora mili do

Widok ogólny wsi Katowice około roku 1850. Pastersko-rolniczy charakter wsi na pierwszym planie ma już tylko idyliczno-malarskie znaczenie, bo oto na horyzoncie już pojawiają się grube kominy oraz mury warsztatów

odkrywki, napełnia łopatą wóz, jedzie do huty, opróżnia wóz i za to otrzymuje osiem groszy srebrnych. Tymczasem przemaszerował on w obie strony trzy mile obok wozu i napracował się okutnie. Czy Dolnoślązak — woła Schummel — zgodził by się na to bieganie i ładowanie za marne osiem groszy srebrnych? Wątpię w to — odpowiada mieszczuch. I ja też, dodaje Schummel.

Chłopom katowickim, pracującym w hutach, przygląda się kilkadziesiąt lat później niejaki Solger i w dziełku o powiecie bytomskim, wydanym w roku 1860 we Wrocławiu, tak ich charakteryzuje: „Polska praludność odróżnia się wśród niższych klas ludności od imigrantów robotniczych przede wszystkim wysokim wzrostem i przyjemniejszymi rysami twarzy ... Najczęściej u niej występującym rysem charakteru jest zaciętość, właściwość bliska niejednemu chłopu ..." Nowych przybyszów nie bardzo sobie Solger ceni, widzi w nich ludzi leniwych i przede wszystkim brudnych. A o Niemcach — o których szczerze pisze, że są to tu ludzie obcy, — twierdzi, iż główną cechą tej klasy ludzi jest żądza zdobycia pieniędzy (Sucht nach Gelderwerb) i dążenie do materialnego dobrobytu (das Streben nach materiellem Wohlleben). I ważne jest także następujące zdanie Solgera, które w przeciwstawieniu do twierdzenia, że polska ludność miejscowa jest bildungsfähig, stanowi pewien silny argument natury politycznej w odniesieniu do tych historyków, którzy tak chętnie mówili o ciągu kulturalnym Niemców śląskich, katowickich w szczególności. Mówi zatem Solger, wówczas asesor rządowy, później starosta bytomski, że „potrzeba rozkoszy rodzaju duchowego i upodobanie w piękniejszych stronach życia ludzkiego nie objawia się u Niemców tutejszych w takim stopniu, w jakim odpowiadałoby temu ich wygodne położenie". Dopiero okres Kulturkampfu pobudził trochę wygodnych nabijaczy własnych kieszeni do jakiejś czynności kulturalnej, co prawda dlatego tylko popularnej, że posiadającej silne antypolskie ostrze. Powstały w roku 1876 związek dla rozwoju języka i kultury niemieckiej oparty został od razu o silne wpływy pieniężne.

Z uzyskaniem praw miejskich w roku 1865 rosną troski. Trzeba oświetlać i brukować ulice a nawet więzienie budować — mówi ówczesny kronikarz —, bo jakaż to sprawiedliwość, kiedy aresztantów musimy trzymać w chlewie szpitalnym, jako jedynym miejscu, w którym mają jakie takie ciepło. Ale cóż z tego — dodaje zmartwiony — kiedy krowy nam aresztanci doją i szpital słusznie się o to oburza. 4.815 mieszkańców wchodzi do historii jako nowi mieszczanie. Na nich to przypadają następujące zakłady handlowo-przemysłowe: 55 handlowców z prawami kupieckimi, 43 bez praw kupieckich, 10 restauratorów i oberżystów, 10 piekarzy, 8 rzeźników, 1 piwowar, 19 różnych rzemieślników, 2 młynarzy, 5 transportowców.

Jest na co patrzeć, miasto rośnie jak na drożdżach a jeśli w roku 1939 poeta nazwie je miastem, które zastygło w geście niezbyt wysokim, przez co przypomina zbankrutowane miasto staroamerykańskie, to zawinią temu przede wszystkim owe Fanny i Matyldy, Waleski i Beaty, huty i kopalnie i ich niczym z tą ziemią niezwiązani właściciele oraz protektorki.

Przerzućmy karty kalendarza. Jest rok 1904. Listopad. Cesarz przyjeżdża. Der Kaiser, der Kaiser ist gekommen. Przyjeżdża na polowanie. Przyjmują go grafini, baronowa i comtessa. O siódmej diner na 24 osoby. O dziewiątej cesarz dekoruje odznaczeniami panie domu i zgromadzonych hrabiów i grafów. Drogę na polowanie cesarz odbywa w nader zamyślonym stanie. Graf Tschirschky wskazuje po drodze na kamień z wyrytym wiekopomnym napisem: „Jego wysokość cesarz i król Wilhelm II dnia 2 grudnia 1902 w miejscu tym położył swoją pięćdziesięciotysięczną zdobycz, białego bażanta". Cesarz uśmiecha się. W Strzelcach daruje miastu dwa obrazy z własnoręcznymi dedykacjami — pierwszy obraz przedstawia admirała Seymoura, gdy podczas odwrotu w kierunku Tientsina rozkazuje: The Germans to the front. Drugi obraz pokazuje pierwszy batalion gwardii w czasie bitwy pod Kolinem. Polowanie trwa. Zabito trzynaście tysięcy sztuk zwierzyny, sam cesarz zastrzelił własnoręcznie 3.200. Promieniejący cesarz znów rozdaje medale, ordery, panie otrzymują złote broszki, nawet leśniczy i chłopak stajenny obdarowani zostają, co prawda tylko rogami.

A tymczasem polowanie to pochłonęło nie tylko trzynaście tysięcy sztuk zwierzyny, zabito przypadkiem także sześciu chłopców i jedną dziewczynę ze wsi. Do nich to cesarz nie zaglądnął, zresztą nikt mu o tym nie powiedział. W tym samym zaś czasie już buntuje się Śląsk a robotnicy katowiccy, pochodzący z zaciętych chłopów boguckich, przewodzą ruchowi. Już Korfanty otwiera oczy na niesprawiedliwości, jest coraz wspanialsza prasa, w której cesarskie polowanie potraktowane zostanie jako epizod dla historii robotniczego Śląska bez znaczenia, choć pisma niemieckie widzą w nim wydarzenie na miarę historyczną. Słuchajmy, jak w tymże roku przesławnego polowania cesarskiego pod Katowicami, Korfanty grzmi w parlamencie niemieckim, co zapisane zostało w ówczesnym „Dzienniku Berlińskim":

„Jeżeli ludzie, którzy do nas przyszli aby zarobić na kawałek chleba, maltretują nasz naród i depcą nogami nasze ludzkie, narodowe i religijne pra-

Te stare chaty wiejskie na terenie Wielkich Katowic to „Sośnina" na południe od kolonii „Bederowiec" nad rzeczką Rawa, która zresztą nie jest wcale rzeką lecz kanałem.

ZDZISŁAW HIEROWSKI

Rozwiane sny sekretarza Stockfischa

Ów emerytowany sekretarz katowickiego magistratu Leopold Stockfisch w rzeczywistości prawdopodobnie nigdy nie istniał. Imaginacja, która go zrodziła, uczyniła zeń figurę dosyć osobliwą, o losach wcale skomplikowanych i dziwnych: pozbawionego posady magistrackiej łapówkarza, człowieka mającego ambicje poetyckie i redaktorskie, a przede wszystkim górnośląskiego patriotę niemieckiego, zakochanego fantastyczną miłością w Katowicach, niestrudzonego w snuciu pomysłów ich rozbudowy i upiększenia, przepowiadającego temu miastu przyszłość śląskiego New Yorku i pozycję niezniszczalnej twierdzy kultury niemieckiej.

Ta imaginacja, z której zrodził się Stockfisch, nie była zbytnio bogata i nie szła w parze z poważniejszym talentem pisarskim. Bo tak rzecz chyba się miała u autora powieści, której jednym z bohaterów jest ów Stockfisch, u Arnolda Ulitza spod którego pióra w roku wojny, w roku 1939, wyszedł „ein kattowitzer Roman" zatytułowany „Der grosse Janja". Wydała tę powieść w wielu tysiącach egzemplarzy mająca swą piękną kartę w dziejach polskości Wrocławia firma wydawnicza „Wilhelm Gottlieb Korn" chcąc się widocznie przysłużyć dziełu rozniecenia nastrojów wojennych i antypolskich na Śląsku. Przeczytałem ją z zaciekawieniem i bez cienia irytacji w czasie okupacji, wypożyczywszy egzemplarz od przyjaciela, który korzystając z wielkich księgarń niemieckich zainstalowanych przejściowo w Krakowie, kompletował niemieckie silesiaca. Jej ciekawa dla każdego związanego ze Śląskiem treść utkwiła mi dość mocno w pamięci, przesłaniając treść innych antypolskich książek śląsko-niemieckich pisarzy.

O powieści „Der grosse Janja" nie mogłem przede wszystkim nigdy myśleć bez uśmiechu pewnego rozbawienia spowodowanego jej naiwnością patriotyczną i jej propagandowym „schnittem". Bo dla Polaka książka ta jest naprawdę zabawna. Nawet pobieżnie odczytana daje efekt wręcz przeciwny od tego, jaki autor zamierzył. Zamiast przekonywać o niemieckości i niemieckiej przyszłości Katowic i Górnego Śląska, pokazuje na każdym kroku ich nieubłaganą, rosnącą w siły polskość. Przypuszczam, że podobna musiała być jej wymowa i dla inteligentniejszych czytelników niemieckich, zwłaszcza dla tych, którzy z Górnym Śląskiem i Katowicami zetknęli się bezpośrednio i znaleźli się przez pewien chociaż czas w sytuacji bohaterów powieści. Rzecz prosta, że tej wymowy nie dostrzegała hitlerowska megalomania narodowa, tak jak nie dostrzegł jej sam autor.

„Der grosse Janja" jest bowiem książką z ducha tej megalomanii wyrosłą, książką w swej konstrukcji myślowej typowo hitlerowską. Usiłuje ona pokazać, jak Śląsk staje się niemiecki, jak wszystkie najbardziej wartościowe elementy niemieckością przesiąkają, jak stają się niemieckimi patriotami, jak tylko w przynależności do narodu niemieckiego widzą swą przyszłość, usiłuje udowodnić, że trzeba być głupcem, by nie chcieć zostać Niemcem że Ślązacy, „die Piekons, sind Oberschlesier, Oberschlesier, aber keine Polen, und alles Gute haben sie von den Deutschen".

Nie stwierdzałem dotychczas, w jakim stopniu związana jest z historyczną prawdą Katowic centralna postać powieści Ulitza, ów „wielki Janja", piekarz z Załęża, którego wielkość polega na tym, że węsząc koniunkturę nakupił placów budowlanych i wybudował na nich trzy „sorty" domów: dla wysoko, średnio i niżej postawionych mieszkańców Katowic. Działo się to podobno w latach 1894—1895, kiedy „wielcy panowie" w Berlinie powzięli myśl stworzenia na Górnym Śląsku dyrekcji kolei. Katowice liczyły sobie wówczas dopiero trzydzieści lat jako miasto, nie wchłonęły jeszcze przedmieść, były brudne, błotniste i straszliwie zaniedbane, czego przyczyną była naturalnie „polnische Wirtschaft", choć Polacy nic tu do gadania nie mieli i tworzyli odrębną warstwę społeczną określaną terminem „die Hacharen". Ów rzeczywisty czy zmyślony piekarz z Załęża miał wówczas przeszło 50 lat i sporo pieniędzy, zarobionych przez siebie i zasilonych posagiem córki rzeźnika z Bytomia, pani Anny Janja, geborene Duda. Pani Janja za swoje 30.000 marek posagu z jakimiś tam hipotekami otrzymała od męża na całe życie przydomek „dumme Duda", ale bardzo się poza tym kochali, a ona przyznawała nawet swemu „wielkiemu' Sefflikowi rację, gdy ją tak nazywał, tylko w momentach małżeńskich nieporozumień rewanżowała mu się zbliżonym w brzmieniu epitetem „du alter Dupa". Natomiast w momentach czułości mówiła do niego „echt deutsch": Tatullek. Wieść o możliwości założenia dyrekcji kolei w Katowicach oderwała Janję od chleba i bułek i pchnęła go na drogę spekulacji budowlanych. Zanim jeszcze zapadła ostateczna decyzja co do wyboru Katowic na siedzibę dyrekcji, Janja nakupił tanio sporo parcel, a mając już pewność, że zjawią się nowi lokatorzy, przystąpił do szybkiej budowy. Rzucił w to wszystkie pieniądze, pozaciągał długi i budował, budował. Nie należy jednak myśleć, że robił to dla pomnożenia swego majątku, że spekulował, że szukał drogi jeszcze korzystniejszego i szybszego wzbogacenia się niż przy wypieku chleba. Nie, on to robił z patriotyzmu. Czuł się Ślązakiem - Niemcem i pragnął przyczynić się swoją pracą i pieniędzmi do ugruntowania niemieckości Katowic. Jego domy wyposażone nawet w takie cuda jak W. C. (nie na korytarzu, lecz w mieszkaniu) i łazienki z wanną długości dwóch metrów, miały zachęcić Niemców z głębi Rzeszy do osiedlania się w Katowicach i do uczynienia z nich w ten sposób miasta niemieckiego. Interes się naturalnie udał świetnie, trudności finansowe Janja wprawdzie miał, ale nieboszczyk ojciec i Pan Bóg mu dopomogli, bo bardzo drogo sprzedał przedmiejski grunt, na którym stała „die Budka" jego rodziców. Patriotyzm wielkiego Janji szedł jeszcze dalej: uważał on, że z niemieckich Katowic muszą zniknąć „Hacharenhäuser", proletariackie domy biedoty polskiej. Chciał wykupić te domy, odnowić i oddać je za takim samym niskim czynszem dotychczasowym mieszkańcom pod warunkiem, że będą czyści i zostaną Niemcami. Bo jedna tylko dla nich istniała droga, by wyrwać się z nędzy, brudu i pijaństwa: przynależność do narodu niemieckiego. Tego zamiaru nie zdołał niestety uskutecznić, gdyż przeszkodzili mu polscy spekulanci, którzy z domów tych ciągnęli zyski nic w nie nie wkładając.

Dobrym choć trochę pomylonym geniuszem wielkiego Janji był właśnie znany nam już emerytowany sekretarz magistratu Stockfisch. Na emeryturę poszedł już w czterdziestym piątym roku życia ze branie łapówek, a przy tej okazji, autor udowadnia, że branie prezentów od dostawców czy zleceniobiorców instytucji publicznych i urzędów nie jest znów takim wielkim przestępstwem, bo dający i tak przecież wywiązują się solidnie ze swoich oficjalnych zobowiązań. Stockfisch w zetknięciu się z Janją wyrósł na bohatera nowych, niemieckich Katowic i wysoko podniósł sztandar misji niemieckiej w tym mieście. Żył wiecznymi projektami, ustawicznie planował nowe knajpy, kawiarnie, ogrody zoologiczne i pomniki, sekretarzował Janji i zbierał dla niego patriotyczne umiarkowane czynsze, był heroldem jego sławy za życia i po śmierci, wychowawcą moralnym jego wnuka, którego kształcił w duchu nienawiści do polskości na przyszłego następcę dziadka — piekarza.

Syn bowiem nie udał się Janji. Do nauki zdolności nie miał, został murarzem, a w siedemnastym roku życia wpadł w sidła prostytutki, Polki Wandy Konietzny. Gdyby był Niemcem, jak ojciec, byłoby mu to nie groziło, ale zapisał się do „Sokoła", tam zetknął się z mądrymi i wykształconymi Polakami (m. in. z Korfantym) i powziął wątpliwości co do ojcowych bredni na temat polnisches Vieh. Za to Arnold Ulitz zgotował mu los straszliwy. Prostytutka naturalnie go zdradzała, a on zamordował jej kochanka. Na wieść o tym wielki Janja padł rażony apopleksją, a podwójny morderca został skazany na 10 lat więzienia.

Tak samo nie udali się w książce inni Polacy. Jeden z dwóch zięciów Janji, Zajonz, jest fircykowaty, głupi i nieuczciwy, a odziedziczywszy część domów Janji zaraz psuje jego patriotyczne dzieło podwyższając czynsze. Dyrektor banku Quaschinsky pije i doprowadza bank do ruiny. Proboszcz Stellmach broni i rozgrzesza zbrodniarzy i samobójców, bo byli Polakami, a ich przestępstwa zwala na Niemców. Bezczelnie rozmawiający po polsku ze wszystkimi znachor Warzecha, który twierdzi, że nie mieszka w Niemczech, lecz w Ochojcu, kształci syna w Poznaniu na adwokata z pieniędzy, które ciągnie z ruder zamieszkiwanych przez „hacharów". Dlatego nie chce ich sprzedać dobremu Janji. Bezimienny proletariat polski, który tu i tam się w książce pojawia, jest sam winien swojej nędzy, swemu brudowi, ciemnocie i pijaństwu. Niemcy wpychają im swoje dobrodziejstwa, a oni ani rusz nie chcą z nich korzystać.

Listę tych przykładów polskich z książki Ulitza można by znacznie pomnożyć. Dochodzi tam nawet do takich kwiatków, jak stwierdzenie, że Ślązacy świetnie rzucają kamieniami, jako że wprawieni są w tym rzemiośle przez staczanie wielkich bójek na kamienie przy wyrównywaniu porachunków. Mimo to wszystko cała antypolska argumentacja Ulitza bierze raz po raz w łeb pod jego własnym piórem. Robi on ze swoich Ślązaków, z kupców, rzemieślników, restauratorów i t. p., wielkich patriotów niemieckich i generalizuje to na wszystkich Ślązaków takim twierdzeniem Stockfischa: „Kein besserer Deutscher als der Oberschlesier, bloss sie werden schlecht gemacht durch die verdammten, abgeblasenen Posener". Gruntownie już przenicowanym mitem o decydującej roli Poznaniaków w odrodzeniu narodowym Śląska usiłuje więc Ulitz usprawiedliwić klęskę, jaką w pierwszym dwudziestoleciu naszego wieku poniosła tu niemczyzna. Janja na przyniesione przez syna z „Sokoła" argumenty o społecznym i gospodarczym upośledzeniu Polaków nie znajduje żadnego rozsądnego kontrargumentu prócz stwierdzenia, że Śląsk wszystko dobre otrzymał od Niemców, że za 20 czy 30 lat będzie zupełnie niemiecki i na wieki przy Niemcach pozostanie.

Z powieści Ulitza wynika jasno uświadomienie sobie przez Niemców jednej prawdy: Śląsk może być zniemczony tylko przy wykorzystaniu dla celów polityki nacjonalistycznej całej siły, jaką daje ustrój kapitalistyczny warstwie posiadaczy, przy zastosowaniu wszystkich zbrodniczych środków, jakie ustrój ten stwarza. Całkowita zależność gospodarcza polskiego proletariatu od niemieckiego kapitału przemysłowego i mieszczańskiego może stopniowo przerobić tych ludzi na Niemców. Ze starymi może jeszcze byłby kłopot, ale oni przecież mają dzieci, dużo dzieci, które są wspaniałym materiałem na przyszłych Niemców, którymi zostaną w podzięce za kapitalistyczną jałmużnę im udzieloną.

Jedną z osobliwości tej książki jest stosunek autora do języka śląskich Niemców. Ulitz przyznaje prawo obywatelstwa temu „wasserdeutsch", jakim ci „nawróceni" mówią. Nie daje tylko pardonu nazwiskom polskim. Z lubością natomiast wprowadza do ich mowy słowa polskie, nazywa je „wunderschöne" i każe się nimi osobom swojej powieści obficie posługiwać. Jasne jest, że wielu z nich dobrze nie rozumie, skoro np. słowa „Tatullek" używa raz jako pieszczoty, raz jako przekleństwa. Ale nie ulega wątpliwości, że wybaczyłby Ślązakom i więcej jeszcze wtrętów polskich i niegramatyczności w ich niemczyźnie, byle tylko zechcieli tym łamanym językiem wyrażać swój ognisty patriotyzm niemiecki. Autor wyraźnie jednak uznaje słowa polskie za nadające się szczególnie dobrze do wymyślania. Jeśli trzeba kogoś obrazić i poniżyć, to osiągnąć to można najlepiej tylko przy użyciu takich słów, jak „Krupniok", „Schwiniok", „Kuba", „Hachar" itp. Ważne tylko jest jedno: „die Oberschlesier sprechen ein Pieruna-Deutsch, aber sie kennen nur ein einziges Vaterland, und das heisst Deutschland".

„Der grosse Janja" jako powieść miała pokazać, jak Niemcy budowali nowe Katowice. Ten pokaz skończył się na kilkunastu domach Janji i na tym, że w kilku sentymentalnych obrazkach (jakże echt niemieckich w swoich realiach) widzimy, jak ci, którzy przybyciem swoim mieli zniemczyć to miasto, stają się górnośląskimi i katowickimi patriotami. Ulitz przezornie ograniczył główną akcję powieści do lat 1894/5. Szkicowy opis dalszych wypadków ma już tylko charakter epilogu. Jest to zrozumiałe, bo obok niemieckich marzeń rosła w tym mieście realna siła polskiego ruchu narodowego, wiara w siłę germanizacyjną niemieckiego kapitału stała się kleską niemczyzny. Polskość odradzała się tu w oparciu o dynamikę konfliktów i procesów społecznych.

W szkicowym zakończeniu powieść Ulitza doprowadzona jest do czasów miedzywojennych, gdzie głównym bohaterem zostaje już niezmordowany Stockfisch. Podczas gdy wnuk Janji z niemieckiej linii ginie po bohatersku w walce z powstańcami pod „Annabergiem", wnuk z linii polskiej napada Stockfischa na ulicy i powoduje skazanie go na 11 miesięcy więzienia za obrazę narodu polskiego, a oskarżenie w tym procesie wnosi człowiek, który kształcił się ze stypendium Janji. Prześladowany Stockfisch przestaje chodzić do knajp, gdzie trzeba mówić po polsku, łazi jednak po domach niemieckich, głosi sławę Janji, wielkiego Niemca i wielkiego katowiczanina, oraz opowiada swoje wieszcze sny: że znów ujrzał na ulicach ich dawne niemieckie nazwy, że szalał i płakał z radości i że przekonany jest, iż Katowice znów będą niemieckie jak za życia Janji...

Ale jakoś nie wspomina Ulitz, czy znalazł się ktoś, kto przy takiej okazji powiedziałby mu stylem załęskiego piekarza: du dummer Kuba!

Zdzisław Hierowski

Paryż, w lutym 1949.

KRYSTYNA WRYCZAN

Naród i rasa

Notatek paryskich seria trzecia

W obecnej koniunkturze politycznej, wraz z montowaniem się frontu de Gaulle'a przybrał na sile tradycjonalizm narodowy, mistyczny kult „ziemi i zmarłych" („la terre et les morts"), związany z miłością gleby rodzinnej i czcią zmarłych przodków. Barres, który w pierwszej ćwierci XX w. sformułował hasło „la terre et les morts", był Lotaryńczykiem i dotąd Alzacja i Lotaryngia są główną ostoją tradycjonalistycznego ruchu narodowego we Francji. Czy jest on naprawdę tworem francuskiego ducha?

Rola Alzacji i Lotaryngii daje wiele do myślenia. Prowincje pograniczne, właśnie te, które będąc długo pod jarzmem niemieckim, uległy wpływom niemieckiej kultury, przodują w ruchu francuskiego tradycjonalizmu narodowego. Rola ta jest dwuznaczna.

Wiele heroizmu wykazali mieszkańcy Alzacji i Lotaryngii w uporczywej swej walce o przynależność do Francji. Lecz walka z tyranem zamyka w sobie tragiczny moment, opisany przez Musseta w sztuce „Lorenzaccio". Bohater idei wolnościowych Lorenzo, chcąc zgładzić ciemiężyciela Florencji, nawiązuje z nim bliższy kontakt i poznaje zwyczaje i charakter znienawidzonego

kata swej ojczyzny. Jakież ogarnia go przerażenie, gdy po pewnym czasie stwierdza, że on sam upodabnia się do wroga i przesiąka tym, co budzi w nim odrazę.

Dramat Alzacji i Lotaryngii jest podobny: prowincje te zaraziły się germanizmem, z którym walczyły, stając się mimo woli jego rozsadnikiem. Tak tłumaczy się ich rola w kolportowaniu hasła „Ziemia i zmarli" wyrosłego na podłożu pojęcia rasy.

Stary Michelet, jeden z wybitniejszych patriotów francuskich i przedstawiciel nigdy nie starzejącego się ducha Francji, dał analizę pojęcia narodu i rasy. Naród jest tworem kulturalnym wysoce złożonym i bogatym. Rasa natomiast jest prymitywnym tworem biologicznym. Francuski patriotyzm Micheleta, oparty o pojęcie kultury, przeciwstawia się patriotyzmowi Barrèsa i jego koncepcji „ziemia i zmarli".

Na naród francuski złożyły się różne rasy, a państwo powstało z zespolenia wielu prowincji. Wszystko działało tu na wszystko, przetwarzało się nawzajem, mieszały się czynniki nordyckie i południowe, dając sharmonizowaną i bogatą syntezę: naród francuski. Niemcy natomiast są jednolici i procesu tego w całej jego złożoności nie znają. Dlatego, że stanowiska Micheleta, nie są oni narodem: Niemcy są dopiero rasą.

Tak tłumaczy się izolacjonizm rasowy niemiecki oraz ogólnoludzki zasięg kulturalny francuskiego narodu, dojrzałego do humanistycznej pełni.

Za czasów Petaina próbowano zatrzeć napisy na gmachach publicznych „wolność, równość, braterstwo". Zamiast hasła, które Wielka Rewolucja Francuska rzuciła światu, lansowano inne: „partie, famille, travail" (ojczyzna, rodzina, praca), odbitkę z kliszy niemieckiego faszyzmu. Lecz hasło obcego ducha i obcej genealogii nie zakorzeniło się, gdyż łatwiej zatrzeć napisy na murach niż sfalsyfikować psychiczną rzeczywistość narodu.

Nic nie zmieni faktu, że jest ona ukształtowana we Francji według rewolucyjnych ideałów o ogólnoludzkim zakroju, które wychowały tu pokolenia, aż po dzisiejszy dzień. Do hasła „wolność, równość, braterstwo" nawiązały awangardowe elementy rewolucji 1830 i 1848 oraz Komuna Paryska 1871, kontynuując dzieło swych poprzedników. W naszych czasach wystarczy pomieszkać rok we Francji, poznać ludzi w ich życiu codziennym, obyczajach, upodobaniach i poglądach, by stwierdzić, że hasło to, które obeszło świat, nie jest frazesem o wypłókanej treści. Zostawiło ono swe piętno na każdym przeciętnym Francuzie.

Znając też specyficzną strukturę kulturalną swego narodu, niektóre czynniki, zaprzedane kapitalistycznemu interesowi, schlebiają temu, co na skutek wiekowego wychowania stało się narodowym instynktem i kierują go w nieodpowiednie łożysko. Temu manewrowi np. zawdzięcza swą poczytność gazeta „Franc - Tireur".

Szczególne światło rzuca to też na małych rentierów drobnomieszczańskich, o których mowa była powyżej. Nawet oni są dziećmi lat 1789—1793. Co prawda prototypem ich jest grupa „ani zimnych ani gorących", którzy w parlamencie porewolucyjnym zwani byli „marais" (bagno). Lecz obok ludzkich wad i słabości, składających się na ich bierność i życiową tchórzliwość (typ drobnego ciułacza, który dorobił się majątku), mają też oni zalety pierwszorzędne (racjonalistyczna śmiałość myślenia, równościowe nawyczki kulturalne, stosunkowo wysoki poziom uspołecznienia), a zalety te, które trzymają ich na powierzchni i nie dają w „bagnie" ugrzęznąć na dobre, są rewolucyjnego pochodzenia, zaczerpnięte u źródła, do którego nieraz przestali się przyznawać. Dlatego szary człowieczek, nawet ten, który w tragicznych latach wojny widział w Petainie kompromis, mogący uratować jego biologiczny byt, nie jest elementem beznadziejnym. Bezużyteczny w okresie bojowym, stanowi on rezerwę na przyszłość i wykaże swe cenne zdolności konstruktywne w czasach ustabilizowanych, wywalczonych przez elementy inne.

Nie napróżno więc Francuska Partia Komunistyczna w swym programie kwietniowym, obejmującym 17 punktów, zwraca się do SFJO, Francuskiej Partii So-

cjalistycznej, grupującej raczej drobnomieszczaństwo niż klasę robotniczą. Liczy ona na doły partyjne, nie zaprzedane amerykańskiemu interesowi i proponuje klasie drobnych właścicieli sojusz ze sobą.*)

Dziś de Gaulle raczy swój naród tym samym co Petain paciorkiem, nigdy we Francji nie brano poważnie: Patrie, Famille, Travail. Patriotyczne to hasło brzmiało dość paradoksalnie w ustach tych, którzy ojczyznę swą oddawali najeźdźcy. Obecnie znów słuchają go Francuzi, lecz nie pójdą na to zawołanie po niemiecku „jak jeden mąż". Nie dlatego, by Francuz nie miał być wiernym swej pięknej ojczyźnie: nie dlatego, by nie był znakomitym pracownikiem, którego mistrzostwo odziedziczył po swym przodku, średniowiecznym rzemieślniku cechowym. Nie dlatego też, by nie kochał rodziny i domowego ogniska, on, domator jak kot, i jak kot — indywidualistyczny włóczęga. Lecz nie jemu deptać w kółko na ślepym deptaku swojskości. Francuska Ojczyzna jest punktem skrzyżowania

dróg, rozchodzących się stąd na cały świat, a ramy tradycjonalistycznego patriotyzmu, głoszonego przez tych, którzy nie chcą wielkości Francji, są za wąskie dla francuskiej ekspansji kulturalnej. Tradycjonalizm ten jest więc obcy duchem i nie jest najbardziej Francuzem ten, kto się Francuzem okrzykuje najmocniej.

Jednakowym hasłom Petaina i de Gaulle'a odpowiada jednakowy zespół ludzi. Kolaboracjoniści z rządu Vichy powyłazili z kątów, z całą zuchwałością zasiedli na placówkach rządowych, wypełnili gęsto szeregi R. P. F. (Rassemblement du Peuple Francais — Zwolennicy de Gaulle'a), a rządząca trzecia „słabość", jak dowcipnie została przezwana w Humanité, grupa tych, którzy pretendują do pojęcia „trzecia siła", toruje drogę faszyzmowi w kurtuazyjnym porozumieniu z de Gaullem. Wielu więc zwolenników generała to świadomi zbrodniarze, nie inni jak amerykańscy winowajcy wojenni, miliarderzy, których swego czasu Wyszyński nazwał po nazwisku. Lecz liczni są też mali ludzie, dla których fala de Gaullistowskiej reakcji nie będąc odurzeniem, jak hitleryzm w Niemczech, jest tylko pomyłką w obliczeniu. Kiedyś francuskie dziecko rozdmucha te dymy, zasłaniające jasny widnokręg francuskiego myślenia.

Czy przyjaciele naszych wrogów mogą być naszymi przyjaciółmi?

Czy Ameryka, przyjaciółka Niemców, może ratować Francję?

Czy mogą być patriotami francuskimi ci, co stawiają na Amerykę?

Zdarzają się dorosłym pomyłki w rozumowaniu, za które dziecko w szkole dostałoby „pałę".

Pomyłki podlegają niemniej poprawkom. Wie o tym dobrze reakcja amerykańska i nie ufa francuskiemu narodowi, mimo wiernonaddańcze zapewnienie francuskiego rządu. Peany natomiast śpiewa się na cześć narodu niemieckiego, jego „dyscypliny", „karności", „ładu", „organizacji". Cechy te, najzupełniej autentyczne, akcentują to wszystko, co czyni z narodu niemieckiego znakomitą maszynę wojenną, tak drogocenną dla zachodniej „Międzynarodówki". Lecz że każda maszyna pozbawiona jest mózgu, to przemilczają wielbiciele niemieckiego narodu. Mózg jego bowiem znajduje się poza nim, leży za morzami, a ciężki ten niedostatek przeszedł już do tradycji historycznej. Od dawna dyscyplina wysuszyła w niemieckim narodzie zdolność krytycznego myślenia. Już w XVIII wieku pełnił on należycie swą powinność żołnierską („Befehl ist Befehl"), w wojnie 7-letniej ponosząc całą ofiarę krwi. Skorzystali z tego Anglicy, stając się panami francuskiego imperium kolonialnego, wywojowanego dla nich przez Niemców. Dziś również żelazny ten rycerz hodowany jest dla podobnej funkcji: aby był żołnierzem i żandarmem Europy, środkowej, wschodniej i zachodniej. Zasłuży on za to od swego pana na kość do ogryzienia, której już francuski zdechlak, w gorszych będąc faworach, mieć nie będzie.

Narody, pamiętając piece krematoryjne, drżą przed niemieckim ludożercą. Lecz mało kto w nim podpatrzył giganta Polifema, matoła, którym kieruje chytry wyga Ulisses. Jakkolwiek naród niemiecki wydał wybitnych uczonych, poetów i kompozytorów, jest on w swym średnim przekroju, w ogólnej swej masie, zdumiewająco pozbawiony inteligencji. Dlatego geniusze jego są samotni, a kultura niemiecka, w przeciwieństwie do kultury francuskiej, nie stała się nigdy wszechludzką. Powracamy znowu do Micheleta: **Francuzi są narodem, Niemcy są dopiero rasą.**

Tak więc sytuacja polityczna, psychologiczna analiza narodu, oraz historyczna jego przeszłość wskazują, że Francja tylko na drodze uniwersalizmu może przodować ludzkości i odegrać w niej rolę dziejową o światowym zakroju, taką, jaką miała w ciągu wieków i jakiej zawdzięcza prestiż kulturalny, zachowany dotąd,

mimo zmiennej kolei swej polityki. Ramy „Bloku Zachodniego" nie mogą — rzecz prosta — sprzyjać humanistycznemu jej zadaniu. Powstały na czysto negatywnym podłożu (walka z komunizmem), nie ma spoideł konstruktywnych, żeruje na fermentach, wytwarzanych intrygą. Jak cały ustrój kapitalistyczny w obecnej końcowej imperialistycznej swej fazie, rozsadzany jest sprzecznościami, które nie dają się dialektycznie zrównoważyć w wiążącej je syntezie. Jak bowiem pogodzić w ustroju kapitalistycznym sprzeczności interesu ekonomicznego Francji i Niemiec, Anglii i Ameryki itd. Wielu Francuzów nie ma pod tym względem złudzeń. Oddaje to dobrze rozmowa, którą miałam z pawnym przedstawicielem francuskiego świata intelektualnego.

Ja: Wierzy pan w teorię dwóch niebezpieczeństw, Waszyngtonu i Moskwy, którą rozpowszechnia „trzecia siła", praktycznie zlewając się z Waszyngtonem?

Dr X: Że „trzecia siła" nie istnieje, ani nawet jako „trzecia słabość", że jest ona tylko ekspozyturą amerykańską, to wie każdy trzeźwy człowiek i przyznaje się do tego w chwilach szczerości.

Ja: Istnieją za tym dwie siły: Waszyngton i Moskwa. Gdzie miejsce dla Paryża?

Doktor X: Pod względem ekonomicznym Francja jest bezsilna wobec konkurencji amerykańskiej — jest to bankructwo naszego przemysłu i handlu. Niezawodnie miałby on znakomite perspektywy rozwojowe w kontakcie ze Związkiem Radzieckim, który by dostarczał nam surowców, wzamian za nasze instrumenty laboratoryjne i maszyny precyzyjne, na co jest tam wielkie zapotrzebowanie. Tymczasem w ciągu ostatniego roku wymieniliśmy z ZSRR towarów na 12.000 franków. Absurd! — albo raczej mus: musimy robić to, co dogadza nie nam, tylko naszym władcom.

Ja: Gdyby tak nastąpiło „odwrócenie przymierzy", czy sądzi pan, jako przedstawiciel francuskiego świata intelektualnego, że w znaczeniu kulturalnym Paryż roztopiłby się w Moskwie jak kawał cukru? — Moim zdaniem

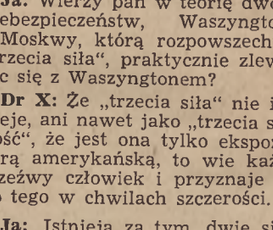

zbliżenie tych dwóch ośrodków zaangażowałoby z ogromną korzyścią dla obu stron grę współtwórczych choć odmiennych dziś w świecie sił.

Dr X: Sądzi pani, że francuscy intelektualiści nie są tego świadomi? Tylko w warunkach, które Pani wyłożyła, miałaby Francja właściwe pole dla swej kulturalnej ekspansji. Ale... sza. Jesteśmy w przededniu faszyzmu we Francji. Za taką rozmowę może wkrótce poszlibyśmy do obozu koncentracyjnego.

Postawa dr X jest charakterystyczna dla bardziej świadomych elementów drobnomieszczaństwa francuskiego. Tchórzliwy charakter tej warstwy społecznej nie dotrzymuje placu wysokiej klasie intelektu.

KRYSTYNA WRYCZAN

*) Niedawno powstała partia Socjalistes Unitaires tworząca wspólny front ludowy z Francuską Partią Komunistyczną.

Wiersze katowickie

JAN BARANOWICZ

KATOWICE

W herbie złociste masz pole. W nim czarny młot i kowadło,
koło zębate i kładkę nad wodą jakby dla przejścia —
Robotnicy w drelichach, oczami patrząc pod światło,
szukają granic dla ciebie w cichych zielonych przedmieściach.

Ciasno ci samemu w sobie. Niebu wyszarpujesz przestrzeń.
Pod ziemią wiertarkami drążysz aleje chodników.
O, miasto kopalń i fabryk, wciąż mało śpiewane jeszcze,
dźwigane na piętra historii pięściami swych przodowników!

Znam twój smak. W każdy ranek wraz z wiatrem do mnie przychodzisz.
Syrenami grasz oknom. Framugi ocieniasz kopciem.
Codzień trojaka wysiłku dwadzieścia cztery twych godzin
tańczą na sytość swoim, na chłodne uznanie obcym.

Łunami pieców malujesz na chmurach iluminacje.
Chwalą cię lampy górnicze od złotych neonów świetlniej.
Manifestują twą siłę fabryczne hale i place
czerwienią flag rozwianych, krzykami transparentów.

Z ciebie cały Śląsk czerpie jak z głębokiego jeziora
od zoranego Opola po Beskid, co w gadkach zamarł.
W ciało Ojczyzny krew czarną toczysz smugami arterii
z serca, co tętni rytmem gigantycznego dynama.

ALEKSANDER BAUMGARDTEN

ŁUNY NA WIETRZE

Znów minął dzień, nad nami wieczór —
pora nastrojów i zachwyceń
lecz tu się większe dzieją rzeczy,
gdy ciągnie wiatr przez Katowice.

To jego sprawa, jego pora —
gna młody, piękny i urodny,
już nie ma miasta i wieczoru
tylko ten cwał przez śląskie ognie.

Ponad hutami łuny w wietrze,
dojrzewa czerwień u kominów
i porze ziemię gniewnym mieczem
rozdygotany rytm maszyny.

Horyzont śląski jest i rdzawy,
sam nie wiesz kiedy — serce złowi —
niezawikłane, proste sprawy:
chleb i żelazo, węgiel, człowiek.

Zwykłe to rzeczy, najzwyklejsze,
w oczach je mieścisz, dzierżysz mocno
i trzeba tylko iść, nie „przejść się"
przez ten krajobraz, co się ocknął.

Tak to jest u nas; — o Warszawo!
patrzymy w siebie wiernie, blisko, —
węgiel czy cegła — jedna sprawa.
Cóż: Polska. Śląsk. To chyba wszystko.

ANNA KOWALSKA

Siła i rozum

I

Damonikos zmieszał się. Znowu babka go poprawiła. Pomylił się był wspominając kolejno królów z rodu Eurypontydów.

— Po co kobiecie bogowie dali taką pamięć — pomyślał urażony. Sam bowiem miał słabą pamięć i z trudem połapywał się w koligacjach obu rodów królewskich.

Aristokleia siedziała przy kołowrotku, ale nie przędła. Była zamyślona i gniewna. Chociaż nie miała już ani jednego zęba, nic nie uchodziło jej uwagi. A Damonikosa nie lubiła.

Efor ukrywał niepokój o swoich synów. Trzej byli w walce z Messeńczykami. Bezwiednie szukał u babki jakiegoś pokrzepienia. Czuł się zawiedziony, że go nie znalazł. Ale Aristokleia daleko była myślą od tego, co wypełniało trwogą całe miasto, że tym razem Sparta ulegnie w walce z Messeńczykami.

Za młodu czterech synów wyprawiła na wojnę. Żaden żywy nie wrócił. Zginęli śmiercią Spartan na polu bitwy. Czegóż serce matki Spartanki mogło chcieć więcej?

Teraz sześciu wnuków Aristoklei walczy z Messeńczykami. Iluż z nich wróci? Pewnie żaden. Pół miasta było już w dumnej żałobie po nowych bohaterach.

— Jak będą Spartanie tak chętnie umierali i szukali śmierci na polu walki to Sparta gotowa niedługo przestać istnieć — powiedziała półgłosem.

— A jak może być inaczej? Samaś twoich synów i nas wnuków tego uczyła. Bronimy naszego obyczaju, nie tylko naszych ołtarzy i ognisk domowych. Gdybyśmy zmienili w czymś spartański obyczaj, Sparta przestałaby być Spartą. Byłoby to tak, jakbyśmy dobrowolnie ulegli jakiemuś wrogowi.

— Tak, w Sparcie nie ceni się życia.

— Jakto babko? — zapytał efor skubiąc brodę.

— A ileż to niemowląt wynosi się w góry Tajgetu tylko dlatego, że rodzą się słabe lub dziewczętami.

— Sparta jest za uboga, żeby się obarczać niepotrzebnymi obywatelami. Sparta jest obozem. Kto niepożyteczny, jest zbędny.

— Przecież po to prowadziliśmy wojnę z Messeńczykami, aby zawładnąć ich żyzną równinę. Messeńczycy się zbuntowali i teraz nasze wojska prowadzą walkę na śmierć i życie. Messeńczycy walczą, jakby każdy z nich był Aristodemosem. Ich męstwo równa się ich nienawiści do nas. Jeńcy messeńscy wzięci do niewoli mówią, że raczej wszyscy Messeńczycy wyjadą za morze, choćby na Sycylię, niż mieliby się pogodzić z naszym panowaniem.

Staruszka oświadczyła, że jest zmęczona. Dość miała obecności swego wnuka efora. Mówił wprawdzie to, co uważane było przez wszystkich za godziwe i spartańskie, ale drażniła ją jego mowa, jakby był głupcem.

Chciała być sama. Przez pięćdziesiąt lat obchodziła ten dzień w żałobie i buncie. Pamiętała ten ranek jakby to było wczoraj, kiedy mąż jej i teść zabrali od jej boku dziecię nowonarodzone i mimo jej łez i zaklinań wyszli z dziecięciem z domu. Gdy mąż i świekr wrócili wieczorem, nie powiedzieli do niej ani jednego słowa, ale wiedziała. Zostawili dziecko w górach Tajgetu. Umarło z głodu albo rozszarpane przez dzikie zwierzęta.

Wiele potem ciosów przeżyła, ale żaden nie równał się tamtemu. Wychowała jak dobra Spartanka swoich synów dla ojczyzny. Nie płakała ani nad jednym, nawet ukochanym najmłodszym. Ale na tę ofiarę posłuszeństwa wobec obyczaju miasta nie zdobyła się nigdy.

Co za okrucieństwo chować tylko zdrowe dzieci, tylko chłopców. Cóż z tego, że był wątły, że byłby chromał.

Aristokleia poruszyła zgiętymi ramionami, jakby kołysała dzieciątko. Ze starych, zmęczonych oczu płynęły łzy. Matka nigdy nie zapomina.

II.

— Babko, lecę na agorę. Mówią, że przybiegł goniec z wieścią: nadciągają posiłki z Aten — krzyknął najmłodszy z wnuków, rzucił jej na podołek swego bąka i bacik i wybiegł szybszy od koźlęcia ściganego przez wilki.

Z domów ludzie wybiegali z krzykiem: Jadą Ateńczycy, nadchodzi pomoc, biada Messeńczykom!

W zastępstwie królów dowodzących wojskami na polu bitwy najstarsi z rady oczekiwali Ateńczyków. Nawet heloci pracujący na polach podnosili strudzone barki, opierali się na motykach i patrzyli w stronę gościńca.

— Pierwsza czołówka jedzie — uwaga, chłopcy cofnąć się — krzyczał starszy.

Ukazali się zdrożeni, okryci kurzem trzej jeźdźcy. Dwaj po bokach byli okazali, ale ten w środku wyglądał na pokrakę.

Jeźdźcy zsiedli z koni i jeden z nich przemówił: — Ateny przesyłają wam, Spartanie, tego, kto pomnoży wasze męstwo, uskrzydli wasze myśli, zapewni wam zwycięstwo.

— Kogo przesyłają? — zapytał z niedowierzaniem jeden z radców.

— Tyrteusza, syna Archembrotosa — i pokazał na chuderlawego człeczynę.

— Maga? Czarnoksiężnika?

— Nie. Poetę.

— Zabić go. Ukarać za szyderstwo! Precz z Ateńczykami. Gorsi są od Messeńczyków.

— Posłów się nie zabija — rzekł najstarszy z geruzji.

Spartanie zamilkli na chwilę, ktoś się zaśmiał, ktoś zaklął. Hamując gniew patrzyli na kulawego poetę.

— Odważny jest, że śmiał.

— Co pomoże królikowi odwaga, gdy lwów trzeba, nie królików.

Tyrteusza ugoszczono w budynku Rady. Zastanawiała się starszyzna, czy to podstęp Ateńczyków, obelga, czy tajemnica.

Rankiem ledwo słońce przejrzało się w wodach Eurotasu, Tyrteusz wyszedł na pustą agorę, usiadł na stopniu świątyni i zaczął śpiewać pobudkę. Wyjrzał kapłan ze świątyni, przystanęły dziewczęta niosące wodę z rzeki. Po chwili zbiegli się młodzi, podążający na pole ćwiczeń. Z szyderczymi twarzami słuchali pieśni.

— Nie wiele większy od świerszcza — szydził najmłodszy.

— Kulawy, chuderlak aż obrzydliwość patrzeć.

— Widać, że Ateńczycy nie mają Tajgetu. Czego nie wyrzucili, to nam przysłali.

Ale gdy Tyrteusz wyszedł na wyższy stopień świątyni i raz jeszcze powtórzył pieśń, wraz z nim zaśpiewał chór obecnych. Zjawili się eireni i oni podchwycili embaterion. Po raz trzeci Tyrteusz rozpoczął śpiewać a śpiewała wraz z nim cała agora. Spartanie żyją karnie i brzydzą się pijaństwem, ale w południe Sparta kołysała się od anapestów Tyrteusza jak od wina.

O Messeńczykach nikt nie pamiętał. Tyrteusz wielbił pieśnią życie spartańskie, twarde i wspaniałe. Spartańczycy jakby po raz drugi rodzili się w zachwycie pieśni i miłości dla swej ojczyzny. Nikt nie pamiętał, że Tyrteusz był Jonem, chuderlawym kaleką. Nikt go, potrącając się nań, nie widział. Czuli tylko pieśń i miłość swego kraju.

Nazajutrz Tyrteusz wyruszył na czele eirenów do bitewnego obozu.

Miesiąc nie minął, gdy królowie na czele wojska wkraczali do Sparty śpiewając zwycięską, bardziej od samego zwycięstwa upajającą pieśń Tyrteusza.

A gdy Tyrteusz wspomniał, że skoro spełnił swoją powinność winien wracać do Aten, Spartanie podnieśli lament jakby wydzierano serce ojczyźnie. Nie, Tyrteusz nie mógł odejść. Nie dlatego że pomógł do zwycięstwa, ale że stał się częścią Sparty, jej natchnieniem.

Wieczorem matki kołysząc dzieci do snu bezwiednie nuciły pieśni Tyrteusza, ale dzieci zamiast zasypiać rwały się do zabawy. Pieśń Tyrteusza rozbudzała jak ożywcze siły porannego słońca.

Efor odwiedził Aristokleię nucąc pieśń Tyrteusza.

— Wstydziłbyś się — warknęła gniewnie.

— Co babko? — zdumiał się.

— Jak to, nie widziałeś, że Tyrteusz kaleka. Na tajget z nim — drwiła okrutnie.

Efor obejrzał się, czy kto nie słyszy bluźnierstwa.

— Przyszedł kulawy, słaby a siłą swej pieśni potrafił dodać siły i rozpalić męstwo w sercach wspaniałych jak dęby eirenów. Każdy z nich udźwignąłby Tyrteusza w jednym ręku. A on udźwignął całą spartańską armię. Gdzież więc była siła a gdzie moc?

A czy nie myślisz, że któryś tam z naszych, wyrzuconych na Tajgecie chłopców mógł być Tyrteuszem? — zapytał gorzko.

ANNA KOWALSKA

Rozmowy z polskimi marynistami (XV)

Zdobywca lodów Antarktydy

Historyczne dni Kongresu Zjednoczenia przesłoniły wielkimi szpaltami tę drobną z pozoru wzmiankę w prasie — przyznanie dnia 11 grudnia br. pierwszej nagrody m. Warszawy znakomitemu polskiemu uczonemu — Antoniemu B. Dobrowolskiemu.

Przyznam się, że wzmianka ta uszła też i mojej uwadze, mimo że do Warszawy jechałem z myślą o spotkaniu z tym niezwykłym człowiekiem.

Był to ostatni dzień Kongresu. Wieczorem śródmieście warszawskie, zalane światłem lamp i przytłumionym gwarem, falowało podnieconym tłumem. Wysoko, gdzieś na niewidocznym murze jednej z kamienic przy ul. Marszałkowskiej, dyszał jeszcze kongresowymi echami ekran filmowy, dołem jednak, przed bogatymi światłami wystaw przedświątecznych paliła się już gorączka zakupów, trosk i radości. Śnieg nie okrył tego dnia Warszawy i nie rozświetlał tradycyjną bielą ciężko nawisłej, bezksiężycowej nocy.

Jadąc huczącym i zapchanym tramwajem na Żoliborz nie mogłem jakoś skojarzyć składnie tej myśli, że tego samego dnia — 50 lat temu — dwóch uczonych polskich: Antoni Dobrowolski i Henryk Arctowski, wraz z kilkudziesięciu innymi współtowarzyszami niedoli z różnych stron świata — na skutej lodem „Belgice" — szarpało się w beznadziejnej męce, aby wyrwać się z lodowatego więzienia Antarktydy.

Droga z warszawskiego śródmieścia na Żoliborz jest co najmniej tak długa, jak ze szczecińskiej Alei Wojska Polskiego na odległe przedmieście Szczecina — Golęcin. Miałem więc dosyć czasu na podumanie i przypomnienie sobie historycznych faktów, dziś już zaszłych mgłą zapomnienia. Człowiek, do którego jechałem, wybrał się na tę wyprawę polarną, mając 25 lat życia. Był młodym uczonym, przebywającym na emigracji, nieznanym nikomu asystentem meteorologii w Belgii. I oto przypadek, nieprzypadek. Cały ówczesny świat huczał już i entuzjazmował się dopiero co wyszłą z Antwerpii na morze „Belgiką", którą dowodził niestrudzony kpt. Gerlache. Na „Belgice" jechał młody, ale pełen niezłomnej woli sztab uczonych, wśród których znajdował się już jeden Polak, poważny geolog i oceanograf, Henryk Arctowski. Ale zaledwie „Belgika" wypłynęła na wody Morza Północnego, przytrafiło się jej pierwsze, małe nieszczęście. Zepsuła się maszyna, a nazajutrz dwu ludzi załogi marynarskiej „Belgiki" zażądało zwolnienia. Kapitan Gerlache był niepocieszony. Maszyna maszyną, można ją było łatwo naprawić, ale znaleźć odpowiednich ludzi dla uzupełnienia załogi — rzecz niełatwa.

Wyprawa „Belgiki" była przecież ryzykiem, szaleństwem niemal. Kapitan Gerlache wrócił niemal pokryjomu do Antwerpii, aby znaleźć dwóch ludzi do swojej załogi. I oto co pisze na ten temat w swej pięknej książce p. t. „*Piętnaście miesięcy na oceanie antarktycznym*": „Podwójne opóźnienie — zepsucie się maszyny i wystąpienie dwu ludzi — miało jednak szczęśliwe następstwo. Dnia 21 sierpnia uczyniłem *znakomity wybór* przyłączywszy do wyprawy *młodego Polaka, Antoniego Dobrowolskiego*, studenta przyrody, który pragnął usilnie wziąć udział w naszej wyprawie, choćby nawet jako nowiciusz. *Oddał on nam w ciągu podróży znaczne usługi* jako pracownik laboratorium i asystent meteorologii i potwierdził w zupełności znane wyrażenie: „last but not least" („ostatni, lecz nie najgorszy ...").

Gerlache ocenił trafnie Dobrowolskiego. Nie przypuszczał jednak, że ten młody asystent meteorologii zabłyśnie potem jako uczony wysokiej klasy i odda nauce nie tylko polskiej, ale i światowej duże usługi zwłaszcza w zakresie badań polarnych.

Na Placu Wilsona, gdzie wysiadłem, było cicho o tej porze. Nieliczne światła tonęły w pomroce pobliskiej ulicy Krasińskiego. Ale ten rząd bloków, do którego się udałem, był łatwy do odnalezienia, odbijając się wyraźną bielą kamienic. Profesora Dobrowolskiego zastaję przy pracy za biurkiem zasłanym rękopisami. Pamięta o mojej prośbie, coś tam jednak mruczy niechętnie o wywiadzie. Zamiast o Antarktydzie i wyprawach polarnych mówimy o Szczecinie, gdzie profesor ma kilku znajomych. Nieoczekiwanie przychodzi mi z pomocą ... poezja. Wspominam o mojej niedawnej rozmowie w Szczecinie z ojcem znanego warszawskiego poety, Edwarda Szymańskiego, zamordowanego przez Niemców w Oświęcimiu. Wiem, że Profesor ukrywał się przez pewien czas, w okresie wojny, u Edwarda Szymańskiego w Drgiczu. Ta osobliwa nazwa wioski, pamiętna dla Profesora, wywołuje u niego uśmiech. Jest to uśmiech szczególnie serdeczny, przełamujący wszelki konwenans. Rozmawiamy długo o poezji Szymańskiego. Profesor cytuje mi żartobliwy wierszyk Szymańskiego na temat swego pobytu w Drgiczu:

Tyle zwiedziwszy stron w zorzy
polarnej i słońcu,
Aurą dyrygując i biegun znając
z oblicza
Dokądże profesorze przeniosłeś
się w końcu — Do Drgicza!

Ten wybitny geofizyk, polarysta i pedagog, mówi o poezji Szymańskiego, potem Gałczyńskiego i Przybosia wnikliwie i z prawdziwym znawstwem. Rozumiem teraz dobrze, dlaczego „Wyprawy polarne" Dobrowolskiego są książką o tak urzekającym stylu. Pisał ją człowiek nie tylko wrażliwy na zjawiska naukowe, ale i na ich piękno. Człowiek o umysłowości odkrywczej, pionierskiej, nie zasklepionej w jednej specjalności. Człowiek wreszcie — bliski życiu. Przyjrzyjmy się tylko jego życiu. Jako student bierze udział w pracy politycznej należąc do pierwszej polskiej partii socjalistycznej „Proletariat". Potem aresztowany przez władze carskie i skazany na trzy i pół lata więzienia zostaje zesłany na Kaukaz. Stamtąd ucieka zagranicę, studiuje w Belgii fizykę i geologię, w Szwajcarii u słynnego filozofa R. Avenariusa — filozofię, bierze udział, w latach 1897—99, w wyprawie kpt. Gerlacha na Antarktydę. Po wyzwoleniu Polski przerzuca się nieoczekiwanie do szkolnictwa, jest jednym z pierwszych wizytatorów, którzy organizują nowe szkolnictwo, potem przez 11 lat wykłada pedagogikę na Wolnej Wszechnicy w Warszawie. W przerwach pomiędzy tą pracą zakłada w Polsce kilka nowych placówek naukowych jak Państwowy Instytut Meteorologiczny, Towarzystwo Geofizyczne, Obserwatorium Morskie w Gdyni, Obserwatorium Aerologiczne w Legionowie, Obserwatorium Sejsmograficzne w Warszawie i t. p. Podczas okupacji prowadzi konspiracyjne wykłady pedagogiczne i opracowuje szkic nowej struktury szkolnictwa polskiego. W dziedzinie organizacji nauki i pedagogiki jest inicjatorem i propagatorem nowych prądów wychowawczych i oświatowych w Polsce. Jego teorie i programy m. in. tak zwanych przez niego „uniwersytetów ogólnokształcących" (Instytutów Wyższej Kultury Umysłowej) oraz tak zwanych „Universitas Rediviva" wywołały duże zainteresowanie zagranicą i były żywo dyskutowane w kołach uniwersyteckich Anglii i Belgii. Popularność jednak, zarówno w kraju, jak i zagranicą zyskał Dobrowolski przede wszystkim jako współuczestnik słynnej belgijskiej wyprawy antarktycznej, którą opisał w interesującej książce p. t. „Wyprawy polarne". Trzecie wydanie tego dzieła, już odbitego i zbroszurowanego zostało zniszczone przez Niemców. Obecnie przygotowuje się już czwarte wydanie. Zniszczony również został cały nakład „Epopei polarnych", a rękopis zaginął w czasie powstania warszawskiego.

Ponieważ interesuje mnie najbardziej udział profesora Dobrowolskiego w wyprawie antarktycznej, zapytuję o pewne szczegóły tego historycznego już dziś przedsięwzięcia.

— Cóż... — mówi prof. Dobrowolski z uśmiechem, w którym zaciera się wszelka „profesorskość", a igrają młodzieńcze błyski — miałem wówczas 25 lat. Zgłosiłem się na „Belgikę" w charakterze prostego majtka, choć wyszkoliwszy się potem w czasie naszej trzyletniej wyprawy, pełniłem nawet odpowiedzialną funkcję sternika. Gdy 51 lat temu wstępowałem na pokład „Belgiki", czułem w sobie rój lotnych myśli, a serce biło mi niezwykłą radością. Bo trzeba wiedzieć, czym była wówczas Antarktyda! To był naprawdę Sfinks, baśń lodowa, w której mgłach, poza polami zamarzłych fal, majaczyły niepewne, urywane, niewyraźne kreski ledwie zaznaczone na mapie ...może naprawdę lądy, a może tylko sprężenie wysp i potwornych lodów. Krótko mówiąc — tajemnica, ostatnia z wielkich zagadek świata... Kogóż z młodych nie pociągałaby taka wyprawa? Co ciekawsze, wyprawa kpt. Gerlache była, do pewnego stopnia „wyprawą młodych"... Najstarszym z wyprawy był dr Cook, mający wówczas 32 lata. Dziś, po 50 latach, jakże zmienił się ongiś nietknięty, w niebo tylko wpatrzony Sfinks Antarktydy! Poznał ludzi, przemówił, wydał swe najskrytsze tajemnice. Po jego odwiecznym lodzie stąpały buty futrzane, ślizgały się narty, sanki, samochody, w jego mroźnym powietrzu zawarczały samoloty...

— *Na czym polegał przełom w badaniach nad Antarktydą, dokonany przez „Belgikę"?*

— Oczywiście nie była to pierwsza wyprawa. Były one podejmowane przed nami. Ale „Belgika" była pierwszą, która na celu miała *wyłącznie naukowe obserwacje*. Nic też dziwnego, że nasze lądowania na Antarktydzie były liczniejsze niż lądowania wszystkich naszych poprzedników, razem wziętych. Nic dziwnego, że „Belgika" żeglowała po morzach, które na mapie oznaczano jako „morza". Doznawaliśmy wszyscy, oficerowie i prości majtkowie, tego szczególnego i jedynego w swoim rodzaju uczucia, jaki odczuwa się wiedząc, że przemierza się obszary nie tknięte przez nikogo, że odkrywa się wyspy i zatoki, którym nada się nazwy według własnej woli i fantazji.

Drugim znaczeniem naszej wyprawy było to, że „Belgika" — pierwsza w dziejach żeglugi na Antarktydzie — *odważyła się przezimować za kołem podbiegunowym*. Dzięki temu pierwsza przywozi stamtąd masę materiałów naukowych, które stały się podstawą do nowych badań naukowych. Wreszcie — wyprawa „Belgiki" była pierwszą podróżą i *pierwszą szkołą polarną* dla najsławniejszego podróżnika polarnego, naówczas jednego z oficerów statku, *Roala Amundsena*. Nie mało wpłynęła ona na jego późniejszy rekordowy wyczyn polarny w 1911 roku — odkrycie bieguna południowego.

— *Wyprawa spowodowała też nową serię dalszych wypraw i odkryć na Antarktydzie.*

— Tak. Po przełomowym szturmie „Belgiki" dotarły w te okolice dalsze zastępy nowych wypraw, m. in. angielskich, szwedzkich, argentyńskich czy amerykańskich, które ze wszystkich stron osaczyły nieznane lądy i morza Antarktydy.

— *Rezultaty tej wyprawy zostały ogłoszone w wielu tomach, stanowiąc wzór klasycznych opracowań naukowych. Czy brał Pan udział w naukowym opracowaniu wyników tej wyprawy?*

— Oczywiście. O ile pamiętam, Arctowski ogłosił około 10 prac w pomnikowym dziele p. t. „Resultats du voyage de la Belgica". Ja ogłosiłem m. in. pracę o nowej metodzie obserwacji chmur p. t. „Systemes de nuages" i pierwszą kompletną monografię o formach i krystylizacji lodów.

Słuchając wywodów przemiłego Profesora, przypominam sobie mimo woli, co na temat tych obserwacji chmur pisze Gerlache w swej książce: „Dobrowolski oddaje się bez wytchnienia badaniu obłoków. Najczęściej znajdujemy go z głową zadartą, z oczami w chmury utkwionymi, niezmęczonego nigdy".

— *A „Historia naturalna lodu"...* —przerywam — *jest to dzieło Pańskie, stanowiące światową pozycję z tego zakresu badań.*

— Wyrosła ona do pewnego stopnia z moich badań na „Belgice", ale powstała gdzie indziej i na skutek innych obserwacji. Korzystając z niezwykle surowych i śnieżystych zim w latach 1915-16 i 1916-17, podczas których w Szwecji środkowej panowały stosunki iście polarne, przeprowadziłem wiele badań z zakresu t. zw. „glacjologii". Uzupełniłem potem swe spostrzeżenia licznymi eksperymentami, dokonanymi na polach śnieżnych w okolicy Upsali. Zebrawszy dość obfity materiał i dołączywszy do niego obserwacje innych, spróbowałem zbudować swoją teorię, dotyczącą t. zw. wydm „wymuszonych". Książka ta jest próbą *syntezy badań nad lodem* wszelkiego pochodzenia i wszelkiej postaci w naturze i w pracowni. Rodzaj encyklopedii rozumowej i systematycznej, możliwie pełnej, będącej jak gdyby indeksem wszystkich zagadnień dotyczących powłoki lodowcowej wraz z przedstawieniem ich historii, metod, wyników i luk czekających na uzupełnienie. Charakter monografii nakazywał mi ścisłość, trzymając mnie z dala od tak zwanej popularności. Pragnąłem jednak, by z książki mojej opisującej lód ze wszystkich punktów widzenia, skorzystać mógł każdy przyrodnik. Zdecydowałem się więc na metodę wykładu, którą już wcześniej zastosowałem w „Części naukowej" mych „Wypraw polarnych". Do tekstu dołączyłem 340 figur: diagramów, rysunków, przeważnie zaś reprodukcji fotograficznych. Z wielkiej liczby około 2000 fotografii kryształów lodowych, które otrzymałem z różnych krajów, sporządziłem systematyczny zbiór, który przeznaczyłem do jednego z muzeów mineralogicznych w Polsce. Praca ta zawiera poza tym 2000 pozycji bibliograficznych światowej literatury naukowej tego przedmiotu. Rękopis przygotowany był do druku już w 1916 roku, a czekał na druk aż do roku 1922.

— *Gdzie pisał Pan tę książkę?*

— W Szwecji, klasycznym kraju badań nad lodem, gdzie najłatwiej było mi zebrać odnośną literaturę i gdzie miałem stały kontakt z zastępem uczonych badających to zagadnienie.

— *Patronował Pan też pięciu polskim wyprawom arktycznym w latach od 1932 — 1938. Czy była wśród nich jakaś wyprawa odkrywcza?*

— Tak. Pierwszym polskim czynem polarnym w północnych krajach polarnych było urzędowe uczestnictwo Polski w t. zw. „Drugim Roku Polarnym" w latach 1932/33, mianowicie Polska Stacja Geofizyczna na Wyspie Niedźwiedziej.

— *To ta, w której brał udział Centkiewicz?*

— Tak. Jej naukowe wyniki zostały ogłoszone drukiem w 4-ch zeszytach przez Państwowy Instytut Meteorologiczny. Potem nastąpiło kilka dalszych, samorzutnych, nieurzędowych wypraw arktycznych. Odkrywczą w pełnym znaczeniu tego słowa była wyprawa w roku 1934. Odkryto i zbadano wówczas wnętrze t. zw. *Ziemi Torella* na południowym zrębie głównej wyspy Spitzbergenu. Oto zdobycze tej wyprawy: przede wszystkim bardzo dokładne zdjęcia odkrytego wnętrza: lodowca centralnego, pasma górskiego i szczytów nieznanych, ochrzczonych polskimi nazwami. Następnie sumienne badania geologiczne wnętrza Ziemi Torella, nawiązane do badań pobrzeży, doprowadziły do ogólnego zorientowania się w odnośnych przekrojach.

Ostatnia wyprawa podjęta została w 1938 roku. *Mieliśmy więc w ciągu 6 lat — 5 wypraw arktycznych*, które kontynuowano by dalej, gdyby nie wybuch wojny. Wykazaliśmy więc duży zapał do przedsięwzięć polarnych i dużo wytrwałości, dając dowód zdolności organizacyjnych Polaków, gdy im o coś naprawdę chodzi.

— *Czy istnieją możliwości wznowienia wypraw i badań polarnych obecnie?*

— Oczywiście. Trzeba jednak wszcząć w tym celu propagandę podkreślając nie tylko widoczny dla wszystkich prestiż nauki polskiej, ale i realny pożytek. Nie masz bowiem, jak podróże polarne dla wyrobienia dzielnego marynarza. Jako na dowód można wskazać na Anglię, która — jak to starałem się wykazać w mych „Wyprawach polarnych" — właśnie w tym celu wzięła w pacht sprawę polarną, uczyniła z niej pasję narodową, a z podróży polarnych szkołę wychowania marynarza.

— *Co należałoby uczynić w tej sprawie?*

— Przede wszystkim czynić energiczne starania o środki na założenie na razie jednej stałej stacji geofizycznej i glacjologicznej na wybranym lądzie arktycznym. Zjazd Polskich Dyluwistów powziął już odpowiednią uchwałę postanawiając wysyłać systematycznie wyprawy, mające wyraźnie określone cele naukowe, na razie tylko arktyczne. W szczególności chodziłoby o badania arktyczne, ułatwiające zrozumienie śladów ostatniej epoki lodowej w Polsce. W związku z tym reaktywowano już w tym roku Polskie Koło Polarne.

— *Nad czym Pan obecnie pracuje?*

— Interesują mnie w tej chwili zagadnienia z t. zw. „dziedziny filozoficznej i z dziedzin za filozoficzne uznawanych". Przedstawienie mych poglądów na te zagadnienia wychodziłoby jednak daleko poza ramy tego, co, jak widzę, Pana szczególnie interesuje. Powiem więc krótko. Przygotowuję do druku „*Historię naturalną umysłu ludzkiego*", opartą na materiale z górą 40 lat spostrzeżeń i myśli, poza tym „*System kardynalnych pojęć pedagogicznych*" i inne prace z zakresu zagadnień oświatowych i pedagogicznych. Oczywiście, zagadnienia polarne interesują mnie w dalszym ciągu.

Rozmawiamy jeszcze długo z profesorem Dobrowolskim na różne tematy. Kiedy wychodzę, jest już dobrze po północy. Nad miastem powiewają kongresowe sztandary.

Rozmowę przeprowadził:
Stanisław Telega.

Kronika kulturalna Poznania

MUZYKA I TEATR

to dwie główne platformy zainteresowań artystycznych Poznania. Opera, filharmonia i oba teatry — stanowią tedy ich rdzeń i główny nurt zasilający całe miasto sztuką. Publiczność poznańska jest muzykalna i wrażliwa na spektakle. Widownie są zazwyczaj pełne zwłaszcza w operze, melomani bowiem nie nużą się chodząc po kilkakroć na ten sam spektakl.

Nowa, tegoroczna dyrekcja Opery z prof. Zdzisławem Górzyńskim na czele, zrobiła dobry plan repertuarowy i wielki wysiłek w kierunku najlepszego jego wykonania. Pomnożono grono artystów o wielu wybitnych śpiewaków a dla podniesienia poziomu inscenizacyjnego — zaproszono do współpracy najlepszych reżyserów dramatycznych i pierwszorzędnych dekoratorów. Premiera „**Goplany**" reżyserowana była przez Teofila Trzcińskiego a oprawę jej plastyczną wykonał — w Poznaniu po raz pierwszy — Karol Frycz. Przedstawienie stało pod każdym względem na wysokim poziomie i spotkało się z najlepszą oceną krytyki. Drugą premierą była „**Madame Butterfly**", a zapowiadają nam jeszcze w niedługim czasie „**Porwanie z Seraju**" i „**Opowieści Hoffmana**". Balet, który chlubi się posiadaniem najlepszej primaballeriny w Polsce Bitnerówny — [illegible] Oskara Nedbala; „**Od bajki do bajki**".

Co piątku ma Poznań wspaniałe koncerty filharmoniczne w wielkiej auli uniwersyteckiej pod batutą dyrygentów: P. Szeligowskiego, St. Wisłockiego i Krenza. Biorą w nich udział także nieraz i wybitni soliści miejscowi lub przyjezdni. Bywają także i koncerty kameralne, i występy zaawansowanych uczni szkół: muzycznej i operowej i publiczne lekcje słuchania muzyki, tak więc Poznań pod względem ruchu muzycznego stoi napewno na jednym z pierwszych miejsc wśród miast polskich.

Państwowy Teatr Polski pod dyrekcją W. Horzycy otworzył sezon „**Snem nocy letniej**". Spektakl ten nie schodził ze sceny poznańskiej przez 70 dni, potem wdziano go w dwóch miastach Ziemi Lubuskiej posiadających gmachy teatralne dość duże na pomieszczenie ogromnego montażu tej sztuki. 4 dni z rzędu szedł w Gorzowie, gdzie wzbudził nadspodziewanie wielki entuzjazm i dwa dni w Zielonej Górze. Obecnie idzie druga z rzędu wielka premiera: „**Przemysław II**" R. Brandstaettera. Jest to ballada dramatyczna której dwa akty drukowała w r. 1948 „Odra", jak ją sam autor zakwalifikował o mądrym i przewidującym trafnie politycznie, a jednak namiętnym, zbrodnią obciążonym i od zbrodni ginącym — dziwnym i mało znanym księciu Wielkopolskim. Reżyseria T. Trzcińskiego i interpretacja głównej roli przez K. Wichniarza, dążyły do oddania poezji zawartej w sztuce historycznej dali i niesłychanie skondensowanych w krótkich trzech aktach, konfliktów psychologicznych i politycznych — przez koturnowość i pewien patos gry aktorskiej. Wspaniałe i monumentalne dekoracje J. Kosińskiego stwarzały odpowiednie ramy do tego stylu. Dla przeciwwagi dał nam Horzyca w okresie świąt Bożego Narodzenia czarujące „**Pastorałki**" w układzie Schillera. **Cały naiwny wdzięk poezji ludowej jest w nich** zachowany i z pietyzmem odtworzony.

W **Teatrze Nowym** dyr. Szczerbowski postawił sobie w tym roku ambitne plany repertuarowe i realizuje je konsekwentnie. Więc „**Chorym z urojenia**" z Fertnerem w roli głównej zaczął sezon, potem pokazał nam „**Ożenek**" Gogola. W grudniu zaś i styczniu triumfy zbiera w Teatrze Nowym „**Lato w Nohant**" Iwaszkiewicza w reżyserii E. Chaberskiego. Okazało się na tym przedstawieniu dowodnie że nawet grono nie pierwszorzędnych artystów, a rzetelny ich wysiłek, dobra reżyseria, a przede wszystkim odpowiednie i trafne obsadzenie ról — stworzyć może doskonałe i o jednolitym poziomie gry aktorskiej — widowisko. Szopena odtwarza A. Młodnicki, Georges Sand — Lidia Korwin, ale cały zespół nie ustępuje im w wykonywaniu swoich partii.

Na luty zapowiada nam Teatr Nowy wielką premierę „**Ryszarda III**" Szekspira (sztukę niegraną w Polsce podobno od 50 lat) w reżyserii E. Chaberskiego ze Szczerbowskim w roli głównej, a w dekoracjach Jarockiego. Dla pomieszczenia tego ogromnego widowiska rozbudowuje się całą scenę kosztem widowni.

Na drugiej swej scenie: „**Komedii Muzycznej**" daje Szczerbowski wodewil i lekkie komedie stwarzając tym samym jedyną a konieczną placówkę w Poznaniu, beztroskiego humoru. Zaproszony na gościnne występy W. Walter bawił przez dwa miesiące niezmużenie publiczność w „Jadzi Wdowie" (główną rolę odtwarzała Sroczyńska) a przez drugie dwa w „Słomkowym Kapeluszu".

Wspomnieć również trzeba o **teatrze dziecięcym Aktora i Lalki** prowadzonym od samego początku przez niestrudzoną Halinę Lubicz. Skompletowany w tym roku dobrymi siłami aktorskimi — zespół, staranny dobór sztuk dziecięcych i młodzieżowych, pomysłowe dekoracje i artystyczne lalki w wykonaniu Ireny Pikiel — składają się na dobry poziom teatru a Halina Lubicz stwarza w nim atmosferę pełną domowego ciepła i miłej zabawy dla małych widzów.

ŻYCIE LITERACKIE

Ponieważ atmosfera w Związku Literatów jest w Poznaniu specyficzna, bo około 30 jego członków rozproszonych w mieście po rozmaitych posadach i pracując oddzielnie — nie posiada żadnej więzi porozumiewawczo-towarzyskiej między sobą bardzo trudno jest zorientować się, co kto pisze i nad czym pracuje. Raczej z zewnątrz dowiadujemy się że W. Kubacki napisał sztukę o Ludwiku Spitznaglu „**Krzyk dzikiej jarzębiny**", zakwalifikowaną bardzo dodatnio przez Ministerstwo K. S. zaleconą teatrom do grania. Wanda Karczewska przetłumaczyła świetną sztukę G. Neveux „**Skarga przeciw Nieznanemu**". R. Brandstaetter zawsze płodny — po napisaniu Przemysława II może zapoznać nas wkrótce z obiecanymi dalszymi częściami historycznej trylogii. K. Iłłakowiczówna oddała do druku zbiorowy tom poezji, poza tym wydała świeżo dwa tłumaczenia. A. Fiedler siedzi w Puszczykowie i opracowuje materiały przywiezione z Meksyku, a zasłużył się społeczeństwu ofiarnie, dając cały cykl odczytów szkolnych i kilka publicznych na rzecz pomocy Zimowej.

Tradycyjne „**Czwartki Literackie**" organizowane przez zarząd Z. Z. L. P. odbywają się co tydzień. Są to publiczne wieczory autorskie lub fachowe prelekcje z dziedziny teoretycznej wygłaszane przez profesorów i polonistów, w stylowej, pięknej sali zabytkowego ratusza. W tym sezonie wśród wielu innych, wyróżnić trzeba ciekawy wieczór, na którym poznaliśmy fragmenty twórczości pisarzy pomorskich: Alfreda Kowalkowskiego, — wiersze i Mariana Turwida, pełne humoru — opowiadania.

Na stanowisku redaktora działu literackiego w **Głosie Wielkopolskim** zaszła zmiana. Jest nim obecnie E. Morski, jego współpracownikiem został T. Kraszewski.

Warto jeszcze wspomnieć, że ruchliwy zarząd Imki urządza co poniedziałek wieczory dyskusyjne na tematy literackie i muzyczne na przemian. Muzyczne prowadzi zwykle W. J. Młodziejowski, literackie J. Koller, albo W. Bąk. Te ostatnie zawsze odznaczają się wielką dynamiką, wprowadzoną przez temperament naszego czołowego poety i recenzenta teatralnego. Traktują zwykle o teatrze. Wypełniają brak tak dający się w Poznaniu odczuwać, jakiegoś ośrodka dla wymiany myśli i poglądów kulturalnych i artystycznych oraz kontaktów osobistych między inteligencją pracującą i artystami.

PLASTYKA

Mało się wie i słyszy o plastykach poznańskich, choć jest ich około 160 i pracują niezmordowanie. Może pewną przyczyną tego jest fakt, że mała cofnięta w podwórze salka wystawowa Związku nie może pomieścić wielu prac naraz, nie wpada w oko turystom i zwiedzającym — przejezdnym, a jeszcze w dodatku częściej otwiera swe podwoje plastyce miast sąsiednich, jak pokazuje rodzimą twórczość. Dopiero teraz w okresie świątecznym — dano nam krótki przegląd prac 40 malarzy poznańskich. Również w połowie stycznia otworzono drugą wystawę w Muzeum Wielkopolskim na której kilku czołowych artystów jak: Z. Kępiski, M. Szmanda, S. Teisseyre, E. Wasilkowski S. Szczepański, M. Wasilewski, B. Wojtowicz i inni dali już obszerniejszy trochę przegląd swojej twórczości.

Najbardziej zwartym, najruchliwszym ośrodkiem twórczości plastycznej w Poznaniu jest **Wyższa Szkoła Sztuk Plastycznych,** pod dyrekcją St. Teisseyra skupiająca też najtęższe talenta w swym gronie profesorskim. Niestety, nie posiadając swego gmachu, a rozproszona po rozmaitych komornych lokalach wykazuje upośledzenie materialne plastyki poznańskiej. Wielkim powodzeniem cieszy się w tym roku otwarte **Ognisko Sztuki Plastycznej,** które liczy już około 700 słuchaczy.

Aniela Łączyńska

Przypomniany klasyk rosyjski

I. Turgeniew „DYM" (przekład dr T. Stępniewskiego) Wydawn. Wł. Bąka — 1948.

Nakładem Wydawnictwa Wład. Bąka w Bibliotece Arcydzieł Powieści Rosyjskich ukazały się kolejno 4 książki Turgieniewa mianowicie: „Ojcowie i dzieci", „Rudin", i „Szlacheckie gniazdo". Przeżywając obecnie pewnego rodzaju kryzys jeżeli chodzi o twórczość powieściową, cieszyć się możemy niemało z przypomnienia nam tych znakomitych dzieł, które — mimo, że mają około 100 lat — nic nie utraciły ze swojej świeżości i służyć nam mogą za wzór tego gatunku literackiego. Wydanie „Dymu", — powieści, na której zamierzamy dziś specjalnie się zatrzymać, ma dla ogółu naszych czytelników tym większe znaczenie, że dotąd nie była ona jeszcze nigdy na język polski tłumaczona i jest u nas zatem bardzo mało znana, choć niemniej wartościowa, niż inne książki Turgeniewa.

Karykatura społeczeństwa, jaką dał Turgeniew w „Dymie", krytykując tak sfery rządzące, jak i młodzież (owe „młode lwy światowe o przecudnych przedziałkach na potylicy, o prześlicznych zwisających bokobrodach w prawdziwie londyńskich garniturach") młodzież zbijającą bąki w modnym wówczas Baden-Baden, gdzie rozgrywa się głównie akcja powieści — musiała oczywiście przez swą zjadliwość zbudzić u ówczesnych sprzeciw. Lecz niesłusznie dopatrywano się w tej karykaturze obelgi rzuconej pod nogi całemu narodowi rosyjskiemu. Bo przecież w „Dymie" poza całym szeregiem snobistycznych kreatur są typy jeżeli nie walczące z bezpłodnym, szukającym wzorów zagranicznych „brylowaniem", czy beztreściwym rezonerstwem ogółu społeczeństwa, to przynajmniej odczuwających jego bezdenną pustotę. (Potugin, Litwinow, Tatiana, a nawet Irena nie mogąca się wyrwać za sprawą miłości z owego świata blichtru). Postacie te autor wyróżnia odmienną zupełnie techniką charakteryzacji. I jak to słusznie zauważył prof. K. W. Zawodziński w swojej przedmowie do „Dymu", godne jest podkreślenia, że „w sposobie tworzenia autor nie zachowuje tu tej zdawałoby się tak niezbędnej jednolitości tonu: obok obrazów malowanych techniką karykatury, mamy ustępy przedziwnego liryzmu i zdumiewającego, a pełnego realizmu zarówno w przedstawieniu świata zewnętrznego, jak i przeżyć wewnętrznych postaci działających; a mimo to nigdzie nie odczuwamy dysonasów. Zadziwiające jest to zwłaszcza w dziedzinie charakterologii: obok postaci zarysowanych jednym jakimś uderzającym rysem, przezabawnych najczęściej i głęboko wbijających się w pamięć karykatur, mamy pełnych ludzi..." — Dowodzi to oczywiście mistrzowskiego opanowania formy powieściowej. Turgeniew doszedł do tej formy poprzez nowele, które dzięki zwartości kompozycji głębokiej analizie duchowej i pięknemu językowi zjednały mu miano jednego z najwybitniejszych nowelistów świata. Był on też w Rosjii pierwszem pisarzem, który — przebywając stale zagranicą i będąc w żywym kontakcie z artystami zachodnio - europejskimi — był niejako „łącznikiem dwóch światów". Romanse, w których nie brakło aktualnych zagadnień, zaczął pisać, jak wiadomo, dopiero przekroczywszy trzydzieścikilka lat życia, ale już wcześniej z powodu swoich „Zapisków Myśliwca" zdobył słusznie opinię rewolucjonisty i wroga wszelkiego niewolnictwa. Odwaga, jaką wykazał w „Zapiskach", ściągając na siebie niełaskę cara, charakteryzuje go jako artystę nie uznającego kompromisów artystę, od którego społeczeństwo mogło się spodziewać bezlitosnej satyry. Społeczeństwo to nie było widać zbyt odporne, skoro powieść „Ojcowie i dzieci" wypowiadająca walkę przesądom i szkodliwej tradycji, oraz wyrażająca niewiarę autora w siły duchowe społeczeństwa wywołała oburzenie które „Dym" jeszcze spotęgował. Jeżeli w oburzeniu tym mogła być pewna słuszność, to, jak twierdzą znawcy, jedynie ta, że stale przebywający zagranicą Turgeniew świetny znawca sfery ziemiańskiej nie oceniał należycie nowego odłamu społeczeństwa, kształtującego się w owych latach w Rosjii. Portretował on też głównie ową sferę szlachecką i wielkomieszczańską, znakomicie, oddając „bezmyślne i płytkie rozgadanie liberalizmu i rzekomo „postępowej", przeważnie udającej radykalizm części społeczeństwa, a również bezmyślną, ale wystarczającą wobec tego reakcję". Intuicyjnie doskonale orientował się w przemianach zachodzących w sferze ziemiańskiej od czasu zniesienia poddaństwa i w „Dymie" właśnie się to uwydatnia.

Jak w wielu innych książkach Turgeniewa główną treścią rozwijającą się na tle aktualnej satyry społeczeństwa jest ta niespełniona miłość. Mistrzowska analiza psychologiczna bohaterów podobna w odniesieniu do niezmiennych spraw miłości, nadaje książce tchnienie wieczyste. Dzieje mężczyzny porzuconego przez ukochaną dla tzw. kariery, — jeśli słowem tym można nazwać dobrą pozycję towarzyską i materialną — a następnie przywabionego znowu w imię miłości i depczącego po ciężkiej walce duchowej szlachetne narzeczeństwo z inną, jego zmaganie się z namiętnym uczuciem, dla którego ukochana kobieta nie jest jednak w stanie wyprzeć się osiągniętej pozycji, jego zerwanie i wreszcie po latach powrót do narzeczonej — oto treść książki treść którą Turgeniew zawarł w formie niezwykle sugestywnej i przy swoim realizmie zadziwiająco poetycznej. Wewnętrzne przeżycia bohaterów tchną żarem, który zdaje się rozsadzać ramy pozornie spokojnej, dyskretnej i wstrzemięźliwej narracji. I w tym właśnie tkwi najwyższy kunszt artystyczny autora.

Optymistyczne zakończenie książki (powrót Litwinowa po miłosnej burzy do przystani narzeczeńskiej) jest tu, biorąc pod uwagę inne utwory Turgeniewa dosyć niespodziewane. Tym niemniej nie ma w tym zakończeniu nic sztucznego przeciwnie — jest ono nawskroś ludzkie. Zresztą nie brak w książce i postaci reprezentującej programowy niejako, a zatem najbliższy widać Turgeniewowi typ człowieka całkowicie zrujnowanego przez miłość, nie potrafiącego z tragizmem miłości walczyć (Potugin).

Jasność kompozycji jaką Turgeniew osiągnął, unikając gubienia się w szczegółach (akcja, czy nawet charakterystyka wewnętrzna osób podana jest niejednokrotnie w kilku tylko słowach), — tych szczegółach które tak często odbierają smak najpoważniejszym nawet książkom, godna jest podziwu.

Wanda Bacewiczówna

Ilustrowana kronika teatralna

PAŃSTWOWY TEATR DOLNOŚLĄSKI: „Wyspa pokoju" E. Pietrowa w reż M. Godlewskiego. Na zdjęciu M. Chodecka i Schmidt

PAŃSTWOWY TEATR DOLNOŚL ĄSKI: „Lew na placu" I. Erenburga w reż. K. Borowskiego. Na zdjęciu M. Serwiński, J. Bolska, H. Dzieduszycka

PAŃSTWOWY TEATR DOLNOŚLĄSKI: „Tu mówi Tajmyr" K. Isajewa i A.„Lato w Nohaut" Jarosława Iwaszkiewicza w Teatrze Nowym w Po znaniu. Reżyseria G. Chaberskiego Galicza w reż. J. Waldena. Na zdjęciu F. Burałowski i K. Dunajewska

„Chory z urojenia" Moliera w teatrze miasta Świdnicy. Od lewej: Krystian Tomczak, Kazimierz Załuski, Tadeusz Czechowski, Jolanta Skubniewska, Wiktor Biegański i Alina Dzierzbicka

Mały przegląd Mickiewiczowski

TEATR BIELSKO-CIESZYŃSKI KU CZCI MICKIEWICZA

Teatr Polski w Bielsku i Cieszynie uczcił 150-tą rocznicę urodzin Mickiewicza widowiskiem poetyckim, którego premiera odbyła się w Bielsku w dniu 22 stycznia. Wystawiona została opowieść sceniczna pt. „Mickiewicz" w inscenizacji Zdzisława Hierowskiego. W dwóch częściach tej opowieści zawarte zostały dzieje myśli poetyckiej Mickiewicza od okresu filomackiego po ostatnie lata życia, przy czym szereg fragmentów dzieł poety znalazł szczęśliwe rozwiązanie sceniczne. Widowisko, odznaczające się wysokim poziomem artystycznym i dużą starannością wykonania reżyserskiego przygotowała Wanda Stanisławska - Lothe, której praca nad recytatorską stroną spektaklu dała dokonałe rezultaty. Oprawę dekoracyjną opracował Feliks Krassowski.

Na zdjęciach:

„Pan Tadeusz", początek księki XI w wykonaniu Stanisława Jarszewskiego Ewy Drozdowskiej i Anny Jareckiej.

„Dziadów" część III, fragmenty sceny IX w wykonaniu Ewy Drozdowskiej (Kobieta) i Mariana Nowaka (Guślarz).

Wśród CZASOPISM

Chyba zupełnie bez echa mija w Polsce jedna z wielkich rocznic literackich Bułgarii. Jest to setna rocznica urodzin wielkiego bułgarskiego poety-rewolucjonisty Christo Boteva. Przypadła ona według naszego kalendarza w początkach stycznia br. W 1946 r. też niemal bez śladu przeminęła siedemdziesiąta rocznica jego bohaterskiego zgonu. Zdaje się, że uczciło ją tylko „Życie Słowiańskie" artykułem Franciszka Sławskiego, wydrukowanym zresztą z opóźnieniem. W przeciwieństwie do tego o Botevie przy okazji ostatniej rocznicy pisało się wiele w prasie czechosłowackiej, literackiej i codziennej.

Nie jest rzeczą kronikarza prasowego omawiać tego rodzaju rocznice, ale skoro inni o nich zapominają, należy chyba skorzystać z materiału polskiego i czeskiego rozproszonego po czasopismach starszych i nowszych, by chociaż kilka słów powiedzieć o słowiańskim poecie rewolucyjnym, o którym u nas głucho. Jest jeszcze powód drugi, o którym na końcu.

A więc, jak pisze Franciszek Sławski we wspomnianym *Życiu Słowiańskim* (rok 1947, nr 10), „Christo Botev (nazywany także Botjov) to najpopularniejszy, opromieniony aureolą wiecznej sławy poeta bułgarski. Mimo skromnej ilościowo twórczości (napisał wszystkiego około dwudziestu utworów) podniósł on poezję bułgarską na niedoścignione do jego czasów wyżyny, wyprowadzając ją po raz pierwszy na arenę światową. Cała jego twórczość i całe życie poświęcone jest walce o wolność". W innym miejscu tego artykułu Botev nazwany jest „właściwym twórcą poezji nowobułgarskiej, pierwszym prawdziwie natchnionym poetą bułgarskim".

Życie Boteva, jak życie każdego rewolucjonisty, było burzliwe. Naturę miał niespokjną i buntowniczą. Toteż szybko rozwiał marzenia ojca o jakiejś większej karierze poprzedzonej solidnymi studiami. Wysłany na naukę w czternastym roku życia do Odessy, gdzie więcej interesuje się socjalnymi ideami Hercena i Czernyszewskiego niż nauką, szybko popada w konflikty z władzami szkolnymi i opuszcza gimnazjum. W tułaczce po Besarabii zaprzyjaźnił się z tajemniczym rewolucjonistą Iwanem Iwanowiczem, pod którym to pseudonimem ukrywał się prawdopodobnie jeden ze zbiegłych po prześladowaniach w Odesie konspiratorów polskich. Po pewnym czasie wraca do ojczyzny, ale ucisk turecki i buntowanie się przeciw niemu nie pozwala mu tu zagrzać miejsca. Wytrwały i cierpliwy ojciec raz jeszcze wyjednuje mu stypendium na wyjazd do Rosji, ale Botev wyjeżdża do Rumunii, by tam związać się z jednym z niepodległościowych i rewolucyjnych środowisk bułgarskich. Tu — jak pisze cytowany już Sławski — „w najcięższych warunkach materialnych, zdobywając legalnie i częściej nielegalnie środki, redaguje bułgarskie pisma rewolucyjne, przepojone nienawiścią do ciemiężycieli narodu, oraz pisze natchnione pieśni. Początkowo współpracuje ze znanym rewolucjonistą i pisarzem bułgarskim Karavelovem, głosząc hasła połączenia się wszystkich Słowian. Wkrótce jednak stosunki z Karavelovem psują się, gdyż dzieliła ich zbyt wielka różnica poglądów. Karavelov, wybitny prozaik bułgarski, twórca nowobułgarskiej prozy, jest bardziej umiarkowany i nie podziela skrajnych poglądów rewolucyjnych Boteva, skłaniającego się do socjalizmu i komunizmu, zwolennika socjalistycznej republiki, opartej na zasadach wolności, równości i braterstwa. Dochodzi do tego, że w połowie lat 70-tych Karavelov zrywa całkiem z Botevem. Botev staje sam na czele bułgarskiego Centralnego Komitetu Rewolucyjnego. Gdy w kwietniu 1876 wybuchło wielkie powstanie w paśmie Średnia Góra, Botev z garstką zapaleńców przekracza Dunaj, pewny szerokiego udziału mas ludowych w powstaniu. Niestety jednak przewidywania jego się nie spełniły. Przedwczesne powstanie już dogorywało, krwawo stłumione przez Turków. W trzy dni po przekroczeniu Dunaju ginie poeta w nierównej walce z przemocą turecką, 20 maja (2 czerwca) 1876."

O radykaliźmie poglądów Boteva i w sprawach literatury świadczy takie zdanie z jednego z jego artykułów pisanych w r. 1875, które przytaczam tu za okolicznościowym artykułem Zdenki Hanzovej w „Lidovych Novinach": „Literatura, poezja, dziennikarstwo, a zatem wszelka działalność intelektualna przywódców ludu, musi być jakąś polityczną propagandą, musi łączyć się najściślej z życiem, dążeniami i potrzebami ludu a nie pielęgnować naukę dla nauki, sztukę dla sztuki". A o sprawach literatur obcych pisał: „Nowele, powieści, opowiadania i w ogóle wszystkie dzieła literackie winny odpowiadać charakterowi i dążeniom narodu, w którego języku są wydawane. My potrzebujemy teraz takich dzieł, które odpowiadają naszym potrzebom i zamierzeniom, które rozwiązują różne współczesne problemy ogólnoludzkie. Zarzućcie te różne „Genowefy" itd. i przekładajcie to, co ma znaczenie dla naszego ludu".

Wspomniana autorka określa Boteva jako bohatera narodowego ludu bułgarskiego i rewolucjonistę, który wszystko poświęcił dla kraju. Całe jego życie przepojone było gorącym pragnieniem wolności. Z jego walki wyrasta dalsza walka narodu bułgarskiego, w jego ślady szli bohaterscy partyzanci. Nie mniejsze znaczenie ma twórczość literacka Boteva. Dzieła jego wychodzą stale w nowych wydaniach. Są to zbiory jego artykułów i essayi a przede wszystkim jego poezja. Boteva cytują liczni współcześni pisarze, z Boteva wywodzi się całe pokolenie postępowych poetów, nie przestając otaczać go czcią i nie przestając się od niego uczyć.

Botev pojawił się w literaturze bułgarskiej w okresie, gdy język literacki tego narodu był jeszcze bardzo ubogi i nie wykształcony. Botev tworzył go przede wszystkim przez silne związanie swojej poezji z poezją i pieśnią ludową i w tym leży jedna z największych jego zasług literackich. Poezja jego, buntownicza, patriotyczna i rewolucyjna z ducha, jest wybitnie oryginalna, samorodna, nie zasilana obcymi wpływami. Nie traci swej świeżości i oryginalności, jest „żywą wodą poezji bułgarskiej".

Przypomniawszy Boteva, zwrócić trzeba ogólnie uwagę na małe zainteresowanie kulturą Bułgarii, jakie obserwujemy u nas po wojnie. Poza jednym numerem *Dziennika Literackiego* poświęconym literaturze tego kraju, poza artykułami w *Życiu Słowiańskim*, poza przekładem Genowskiej „Szklanych murów" na palcach zdaje się policzylibyśmy to, co się u nas o kulturze bułgarskiej w ostatnich latach pisało. Warto by pomyśleć o zmianie tego stanu rzeczy, który nie licuje ze stosunkami, jakie nas z narodem bułgarskim łączą. *(ki)*

Wystawa sztuk plastycznych w Szczecinie

Romuald Kononowicz: Praca w polu

Paweł Bałakirew: Nad Odrą (olej)

Wystawa grafiki belgijskiej

W salonach Związku Zawodowego Artystów Plastyków w Katowicach przy ul. Dworcowej otwarta została wystawa współczesnej grafiki belgijskiej obejmująca 158 plansz 32 grafików.

Przy zwiedzaniu tej wystawy uderzają widza dwie właściwości: silne powiązanie z tradycją oraz umiar formalny przy niezwykle wysokim poziomie technicznym.

Niewiele krajów w Europie posiada tak dawną i bogatą tradycję malarską jak Belgia, a szczególnie Flandria. Od średniowiecza po wiek XVIII malarstwo flamandzkie odgrywało decydującą rolę w rozwoju sztuki europejskiej. W dziedzinie grafiki ciągle jeszcze toczy się spór pomiędzy Flandrią a Niemcami o kolebkę drzeworytu. Od wieku XVI kwitnie tu, szczególnie w Antwerpii, miedzioryt i akwaforta. Drzewo genealogiczne współczesnej grafiki belgijskiej jest zatem wielkie i rozrosłe.

Cechą istotną malarstwa flamandzkigo jest głębokie zainteresowanie światem zewnętrznym, a więc, postawa, która w XIV wieku wyprowadziła malarstwo europejskie z niewoli architektury na drogę samodzielnego rozwoju.

W średniowieczu postawa ta znajdowała swój plastyczny wyraz poza rzeźbą jedynie w malarstwie miniaturowym, które doszło we Flandrii do szczególnego rozkwitu wydając tak wspaniałe dzieła „Les treś riches Henres du Duc de Berl" z pierwszych lat XV wieku, gdzie podziwiać można znakomite odtworzenie życia codziennego dworu burgundzkiego i niezwykłe w tej epoce wyczucie krajobrazu.

Rewolucja światopoglądowa renesansu, która przezwyciężyła ponadindywidualne gardzące światem doczesnym nastawienie średniowiecza na rzecz indiwidualizmu i zainteresowania światem zewnętrznym, miała we Flandrii na polu malarstwa drogę utorowaną. Zapewniła ona realizmowi flamandzkiemu pełny rozwój przy pomocy narzędzia szczególnie przystosowanego do rozwiązania problemów malarskich, jakim jest obraz sztalugowy. Pojawiają się w wieku XV bracia Van Eyck, Rogen, V. der Weyden Hieronimus Bosch i wreszcie największy z nich Peter Breughel.

Jednak stosunek malarstwa flamandzkiego do świata zewnętrznego był inny niż na przykład we Włoszech. Tam było w tym stosunku dużo intelektualizmu i skłonności do idealizacji i pięknego gestu. We Flandrii stosunek był bardziej intymny, kameralny. Zainteresowanie budziły uroki życia codziennego i ściślejszy był stosunek do przyrody.

Pierwszym obrazem europejskim, w którym główny akcent stanowił realistycznie potraktowany krajobraz, był „Chrzest Chrystusa" Gerarda Davida z roku 1509, a pierwszym obrazem rodzajowym „Św. Eligiusz w pracowni" Petrusa Chrystusa z roku 1449, gdzie przedstawienie świętego jest pretekstem do pokazania pracowni złotniczej.

Stosunek ten jest wreszcie raczej zmysłowo intuicyjny, niż intelektualny. Bracia Van-Eyck, Van der Weyden, a nawet mistrz z Flemalle nie znają perspektywy linearnej której zasady stworzyły dopiero Włochy.

Ten zmysłowy i pozbawiony refleksji stosunek do świata zewnętrznego, to bezinteresowne napawanie jego urodą i poszukiwanie jej w najprostszych przejawach życia codziennego nadaje realizmowi flamandzkiemu bujne bogactwo, które podziwiamy u Rubensa i pogodny, nieraz rubaszny humor Petra Breughela. Obok tego głównego nurtu jest jeszcze drugi fantastyczno-symboliczny, którego głównym przedstawicielem jest żyjący w wieku XV Hieronimus Bosch.

Obrazy jego pełne są wizji sennych, potworów, demonów itp. Ten swego rodzaju surrealizm, wspólny zresztą w owym czasie z Niemcami (Schongauer), nabrał we Flandrii szczególnego zabarwienia. Zamiast odrealniać elementy rzeczywistości użyte do przedstawienia tych wizji dla podkreślenia ich pozaziemskiego charakteru, Bosch starał się te zjawy uziemić i włączyć do świata przyrody, jako twory, może nieco dziwne, lecz mieszczące się w jego granicach.

Jeśli rozpatrzymy to malarstwo od strony formalnej, to zauważymy, że dwie koncepcje plastyczne dzielące malastwo europejskie od jego zarania po dzień dzisiejszy, a mianowicie koncepcja plastyczno-linearna dostrzegająca w świecie zewnętrznym przede wszystkim jego kształt i trójwymiarowość i koncepcja kolorystyczna nie płyną tu tak ściśle wyodrębnionymi nurtami jak np. we Włoszech. Bracia Van-Eyck wynaleźli farby olejne pozwalające na większą intensywność barw, a równocześnie budują obrazy raczej plastycznie. Peter Beughel łączy bogaty koloryt z śmiałą, niemal stylizatorską linią skłaniającą się ku grotesce. Czysty kolorvzm Rubensa jest zjawiskiem wyjątkowym.

Wszystkie te charakterystyczne cechy malarstwa flamandzkiego znajdujemy we współczesnej grafice belgijskiej.

Niemal wszyscy jej przedstawiciele odziedziczyli niezawodne **poczucie linii i bryły.**

Emocjonalny stosunek do przyrody przejawia się w licznie reprezentowanych krajobrazach. Niektóre z nich jak „Pola" Jean Donnay, „Wiatrak w Miakerke" Ensora wywołują głębokie wzruszenie urodą świata środkami tak dyskretnymi i subtelnymi, iż dopiero ich głębsza analiza odkrywa nam ich skomplikowaną budowę.

Tradycja humoru Breughela kontynuuje De Bruycker, którego sceny uliczne wyraźnie nawiązują do wielkiego przodka nic nie tracąc ze swej oryginalności. Do pewnego stopnia nawiązuje do tej tradycji Jean Stevo w swych delikatnych akwafortach, jednakże linia łączności ukryta jest pod zdecydowanie odmienną postacią środków ekspresji.

Przedstawiciele drugiego nurtu fantastyczno - symbolicznego stanowią słabszą stronę wystawy.

Najwybitniejszy z nich James Ensor nie wystawił tu swych najlepszych dzieł tego rodzaju.

Znacznie gorzej przedstawiają się inni.

Wielkie „symboliczne" drzeworyty Viktora Delhez i akwaforty Van Pa-

Frans Maserel: Z cyklu „Słońce"

Frans Maserel: 3 drzeworyty z cyklu „Charles - Lous Philippe, Bibi z Montparnasse"

emela są żałosnym produktem skrzyżowania pretensjonalnej literatury z pozbawioną inwencji grafiką i graniczą z kiczem.

Jak widzimy, łączność z tradycją malarstwa flamandzkiego jest we współczesnej grafice belgijskiej silna. Ten tradycjonalizm nie noszący jednak wcale cech skostnienia jest prawdopodobnie przyczyną drugiej właściwości tej grafiki, a mianowicie umiaru formalnego. Nie znaczy to bynajmniej by odwracała się ona od eksperymentów formalnych tak powszechnych we współczesnej plastyce. Uprawia je jednak z dużą rezerwą i stoi raczej z boku wobec chronicznych już rewolucji plastycznych. Zasadniczą formą jej wypowiedzi jest ciągle jeszcze realizm.

Recenzent „Nowin Literackich" Białostocki przypuszczalnie z tego powodu zarzucił grafice belgijskiej passeizm i zasklepienie się w doskonałości rzemiosła.

Sądzę, że jest to zarzut niesprawiedliwy.

Możliwości eksperymentów formalnych są w grafice mniejsze niż w malarstwie przede wszystkim dlatego, że malarz operuje nieograniczoną ilością odcieni barw, a grafik tylko czernią i bielą i leżącymi między nimi szarościami. Stąd linia wiodąca od przedstawionego w obrazie fragmentu rzeczywistości do granicy zagubienia go w abstrakcji jest w malarstwie dłuższa niż w grafice. Malarz może jeszcze mówić o przedmiocie aluzją pewnych zestawień barwnych przy daleko posuniętym stadium deformacji, tam gdzie grafik już dawno przekroczył granicę oddzielającą obraz przedstawiający od czarno-białej arabeski.

Powtóre grafika nie wyżyłowała jeszcze postawy realistycznej z wszystkich możliwości tak jak malarstwo. Stąd często tam, gdzie malarz widzi już tylko sztampę, grafik odkryć może pasjonujące problemy.

Wreszcie trwający obecnie w plastyce stan chronicznej rewolucji musi się kiedyś skończyć ustaleniem jakiegoś modus vivendi wizji malarskiej z potocznym wyglądem świata — innymi słowy doprowadzić do jakiejś postaci realizmu. Malarstwo tak skomplikowało swe środki ekspresji, że trudno sobie wyobrazić, by ten nowy realizm oszczędził mu amputacji. Grafika jest tu w sytuacji znacznie lepszej, gdyż z powodu swych ograniczonych możliwości eksperymentalnych nie odbiegła tak daleko od realizmu.

Stąd wydaje się, że umiar formalny grafiki belgijskiej dyktowany jest po prostu przez instynkt samozachowawczy.

Przy analizie poszczególnych grafików należałoby właściwie wymienić cały katalog, gdyż poziom jest bardzo wyrównany. Przykry wyjątek stanowią już poprzednio wymienieni „symboliści" oraz karmelkowo-słodkie miedzioryty Margot Weemaes, których wystawienie jest chyba nieporozumieniem. Ograniczamy się zatem do wymienienia kilku najbardziej charakterystycznych grafików.

Najstarszą generację reprezentuje ten James Ensor i De Bruycker. O obu była już mowa poprzednio, chciałbym tylko zwrócić uwagę na niezwykle subtelne pejzaże Ensora (Wiatrak w Mariakerke i Basen w Ostendzie) oraz wspaniałe kompozycje De Bruyckera. Jego dwaj „Sceptycy" odznaczają się ciekawym ustosunkowaniem drobiazgowego cienką siatką kresek uwypuklonych głów i śmiałą linią zaznaczonych ramion i rąk. W swym „Autoportrecie" demonstruje De Bruycker zapomnianą niemal sztukę analizy psychologicznej.

Frans Masereel wystawia drzeworyty zlekka nawiązujące do ekspresjonizmu niemieckiego, wszystkie znakomite za wyjątkiem pretensjonalnego „Naszego ludzkiego serca". Edgard Tytgat wystawił pełne wdzięku drzeworyty kolorowe nawiązujące do prymitywu ludowego oraz kilka dobrych suchych igieł.

Na czoło młodszej generacji wysuwa się bezapelacyjnie Floris Jespers. Operuje on wyrafinowanie subtelnym monologiem linearnym przy umiarkowanej deformacji. Buduje swe obrazy zasadniczo czystą linią, choć próbuje również rozwiązań kolorystycznych w akwaforcie „Ogrodnik". Jego sucha igła „Kąpiąca się kobieta" należy do najlepszych dzieł na wystawie.

Alfred Ligocki

Krótkie spięcia

O imionach

Nowe edycje kalendarzy na rok Pański 1949 uwzględniły w większym, niż dotychczas stopniu imiona słowiańskie. To znaczy, że nie ma prawie kalendarza, a zwłaszcza kalendarza biurkowego, który by nie posiadał obok zwyczajnych imion kalendarzowych również i imiona słowiańskie.

Z tymi imionami słowiańskimi to jest bardzo ciekawa historia. Po pierwsze z uwagi na ich ilość, a powtóre z uwagi na ich jakość. Skąd się wzięło tyle tych imion, żeby ich starczyło aż na 365 dni w roku? I skąd wzięła się ta ich jakaś przedziwna wymyślność? Czy one wszystkie istniały za czasów Wincentego Kadłubka, czy też część ich (większą lub mniejszą) dorobiono później, że się tak wyrazimy, na przestrzeni wieków? Bliżej niewiadomo...

W każdym razie imiona te są niezwykle ciekawe i oryginalne. Tak oryginalne, że właściwie możnaby powątpiewać, czy przy najbardziej intensywnym ich propagowaniu dałoby się kogo nakłonić do obdarzania nimi swej progenitury (jak wiadomo dzieci nigdy nie odpowiadają za imona, dane im przez swych rodziców, aczkolwiek nieraz z tego powodu później cierpią).

Bo weźmy na przykład pod uwagę takie imiona, jak Specigniew, albo Tuligniew, względnie Ninogniew. Strasznie to są gniewne imiona i trudne do przyjęcia, mimo że spokrewnione niejako z sympatycznym Zbigniewem (właśnie — dlaczego taki Zbigniew się przyjął, a taki Specigniew nie...? Zagadka...). Są potem imiona, możnaby powiedzieć typu familijnego. A więc odnośnie wuja: Radowuj, Miłowuj, Nieznawuj, odnośnie stryja: Miłostryj (Radostryja i Nieznastryja jakoś nie ma. Dlaczego...?), odnośnie siostry: jeden jedyny Siestrzewit (podobny jest do niego Gościwit, ale takie imię brzmi już naprawdę podejrzanie — że niby od gości), zaś kobiety, które z natury są miłe, noszą imiona: Ojcumiła, Bratumiła, Siestrzemiła, Dziadumiła. Z nimi się łączy Więcemiła, oraz Wszemiła(brakuje tylko Przemiłej), imię zresztą bardzo ładne. Dużo jest imion związanych ze sławą. Z nich też najwięcej jest, jak wiadomo użytkowych i używanych(ale z tych nie używanych na uwagę zasługują takie, dajmy na to, panie: Cierpisława, Ubysława, Krzesisława, Gościsława(taka powinna prowadzić hotel).

Poza tym spotyka się też imiona przedziwne, co do których trudno jest doprawdy znaleźć wytłumaczenie w dzisiejszym potocznym języku. Na przykład taki Delagor. Brzmi on co najmniej egzotycznie, względnie nasuwa jakieś skojarzenia z Szekspirem (powiedzmy Delagor nadawałby się świetnie na giermka Hamleta). Albo Sulirad (to pachnie znowu towarzyszem broni Zawiszy Czarnego). Albo Siemidrog, względnie Niemst (tak jest!), lub Zdziwoj. Albo tacy: Mojmierz, Boleczest, Tęgomierz (no, no!), Wszebąd, Blizbór (to brzmi naprawdę groźnie), Dalemierz (nie mieszać z artyleryjskim dalmierzem), lub też takie imiona żeńskie jak: Wyszeniega, Mieroniega, Uniedroga, Dobronieja, Dobrowieść (jak do takich pań należałoby mówić zdrobniale...?)

Jednym słowem po tych kilku przykładach możemy już sobie zdać sprawę, że imiona owe, które nosili nasi praszczurowie (przynajmniej należałoby tak przypuszczać) nie były wcale imionami banalnymi. Były one rzeczywiście co najmniej bardzo wyszukane.

Wydają się nam one dzisiaj dziwaczne. Ale gdybyśmy tak spróbowali, poprostu przyzwyczajać się do nich...? Ostatecznie dlaczegóż Mieroniega, chociaż nie wiemy dokładnie, co taka Mieroniega znaczy, miałaby być gorsza od Hermenegildy, albo Niemst od Roberta? Przecież też nie wiemy co znaczy Robert.

No i po malutku Tuligniew wydałby się nam równie piękny, jak Zbigniew. Imiona bowiem mają swoje klimaty i swoje epoki powodzenia (dałoby się napisać o tym cały traktat, dlaczego tak się dzieje — tylko niestety jeszcze nikt takiego traktatu nie napisał) i mają też swoje renesanse.

Dlaczegóżby więc nie dałoby się stworzyć renesansu dla Uniedrogi lub Dziadumiłej...?

Spróbujmy!

Tylko, kto pierwszy...?

NIEJAKI X

Korespondencja

PZZ

Celem uchronienia przed pomyłkami.

Szanowny Obywatelu Redaktorze!

Niejeden z pilnych Czytelników czasopism spotkał się ze skrótem **P. Z. Z.**

Ba, ale pod tym samym skrótem P. Z. Z. mieszczą się nazwy dwu całkiem niepokrewnych instytucyj.

P. Z. Z. — to i **Polski Związek Zachodni — i Polskie Zakłady Zbożowe.**

Ponieważ Polskie Zakłady Zbożowe są znacznie młodsze od Polskiego Związku Zachodniego, powinny ustąpić mu miejsca.

Zresztą nie trudno o racjonalną zmianę dla oznaczenia właściwego naszych Zakładów Zbożowych. Ze swej strony ośmielam się zaproponować nazwę: **Państwowe Zakłady Gospodarki Zbożowej.**

Uważam, że raczej: Państwowe, analogiczne do Państwowej Centrali Handlowej, Państwowej Centrali Chemicznej itp.

A więc: P. Z. Z. i P. Z. G. Z.

Ks. Henryk Weryński

Kraków.

Wyd. „Czytelnik", 3 Maja 12. Redaktor naczelny WILHELM SZEWCZYK. Komitet redakcyjny: Zespół „Odry". Redakcja: Katowice, 3 Maja 36 a, II ptr. Telef. 325-58. Oddziały Redakcji: w Olsztynie: Jerzy Antoniewicz, OLSZTYN, ul. Kętrzyńskiego 4; — w Szczecinie: Stanisław Telega, SZCZECIN, ul. Waryńskiego 32. Rękopisów nie zamówionych Redakcja nie zwraca. Administracja: Katowice, ul. Młyńska 9, Wrocław, ul. Kościuszki 49, tel. 253. — Prenumerata mies. 60 zł, kwartalno 180 zł. Konto PKO III 1950. Ogłoszenia przyjmuje „Spółdzielnia Wydawniczo-Oświatowa „Czytelnik. Złożono i odbito w drukarni nr 9, Spółdzielni Wydawniczo - Oświatowej „Czytelnik", Katowice 3 Maja 12. Tel. 309-73, wewn. 08.

R 021012